KARZEŁ JÓZEF BORUSŁAWSKI

I JEGO PAMIĘTNIKI.

PRZEZ LUCJANA SIEMIEŃSKIEGO.

Jak w obecnym czasie pamiętniki historyczne przeważną grają rolę w literaturze, tak w upłynionym wieku było modą pisać pamiętniki osobiste. Niemało ich też zostawili po sobie wszelkiego rodzaju awanturniki i awanturnice, aż do naszego Borusławskiego który tytułem karła spisał po angielsku swoje przygody, wprawdzie nienadzwyczajne dla zwyczajnego człowieka, lecz dość osobliwe ze względu na istotę liczącą stóp trzy i trzy cale miary. Zresztą karły od owych tajemniczych istot średniowiecznych co strzegły zaklętych skarbów i nieraz złośliwszemi okazywały się niż same olbrzymy, aż do Tom-pusa, obwożonego przez sławnego humbugistę Barnuma, zawsze zajmowały ciekawość ludzką jako fenomen lub kaprys natury. Legendy i pieśni północne dziwne rzeczy rozpowiadają o *Zwergach*, średniowieczne poemata rycerskie opiewają czyny walecznych karłów, a kiedy rycerskość ze światem poetycznych zmyśleń i wierzeń przebrzmiała, spotykamy się z istotami temi na dworach wielkich panów; dopiero nasz czas prozaiczniejszy, zrobił karłów spekulantami, że się pokazują za pieniądze. Borusławski, można śmiało powiedzieć, stanowi epokę przejścia. Jest to w całem znaczeniu emancypowany karzeł, porzucający służbę na wielkim dworze i puszczający się w świat o własnych siłach. W historji karłów jeżeli ją kto napisze, będzie mógł zająć niepospolite miejsce i stanąć obok Krasowskiego, który tak niepoślednią polityczną rolę miał odgrywać na elekcji Henryka Walezjusza. Mogłoby to posłużyć za chlubny dowód że w polskich karłach bywają wielkie dusze, na przekor twierdzeniu sprawdzone-



Borusławski z żoną i córką.

mu w innych narodach, jakoby władze umysłowe i przymioty charakteru tych istot upośledzonych, odpowiadały strukturze ich ciała. Borusławski w pamiętnikach swoich zwraca na to uwagę porównywając się z innemi karłami, a mianowicie ze sławnym *Bebé* lotaryńczykiem, który jak pisze, był zły i ograniczony, kiedy przeciwnie talenta i dowcip Borusławskiego wzbudziły podziw na dworach monarszych. Jakkolwiek ta okoliczność że Borusławski wziął się do pisania pomienionych pamiętników z potrzeby, to jest kiedy mu bieda zaczęła dokuczać w Londynie, mogłaby rzucać podejrzenie o ich wiarogodności, jednakowoż w toku opowiadania, osoby, miejsca, okoliczności, tak są dokładnie podane, że nieprzypuszczam, aby prawdę całkiem poświęcał dla interesu zajęcia publiki angielskiéj swoją osobą. Z resztą w tonie opowieści przebija się raczéj skarga niedostatku, powołująca się na litość, niż chęć mydlenia oczu nadzwyczajnością przygód. Na wstępie swéj autobjografji wyznaje on, że nic innego niespowodowało go do pisania pamiętników tylko nalegania życzliwych mu osób, a mianowicie obowiązek przekonania publiczności nawykłéj uważać karłów za istoty upośledzone, że i między niemi mogą się znaleźć wyjątki mające w uczuciach, wyobrażeniach, skłonnościach, dążeniach, zupełną spólność z innymi skończonymi ludźmi.

Borusławski, dobry szlachcic, urodził się w r. 1739 pod Haliczem. Rodzice jego byli miernego wzrostu, mieli pięciu synów i jedną córkę; z tych troje przez osobliwszy kaprys natury, przerosło rodziców, a drugich troje dorosło tylko do wzrostu cztero lub pięcioletnich dzieci. Borusławski trzecim był z rzędu w téj rodzinie. Urodziwszy się miał tylko ośm cali długości, ale wyglądał zdrowo i karmiącéj go matce mało sprawiał kłopotu. Po roku urósł na trzy cale; w trzecim roku miał stopę i cali dwa; w dziesiątym stopę i cali dziewięć; w dwódziestym dwie stopy i cali cztery; w trzydziestym trzy stopy i cali trzy i przy tym wzroście do końca życia pozostał, co się sprzeciwia twierdzeniu niektórych naturalistów utrzymujących że karły rosną do późnéj starości. W dziewiątym roku odumarł go ojciec i pozostawił wdowę z sześciorgiem dzieci i w nienajlepszém położeniu majątkowém. Szczęściem matka jego miała przyjaciółkę i dobrodziejkę w pani starościnie Kaharlickiéj [1]) która chcąc ulgę przynieść w przykrém jéj położeniu, podjęła się zająć całkiem wychowaniem i losem niedorodka. Z boleścią oddała matka w obcy dom synaczka, ale nie było mu tam źle, gdyż pani starościna wychowywała go starannie i pieściła jak własnego. Najpewniéj byłby tam do końca życia, gdyby nie zbieg różnych okoliczności. Starościna wdowa dość jeszcze powabna znalazła wielbiciela w hr. Janie Tarnowskim, który po kilkomiesięcznych konkurach pojął ją; karzełek nadskakiwał nowemu panu i umiał się mu podobać, ale gdy starościna uczuła się w stanie błogosławionym, znalazła się sąsiadka, pani Humiecka miecznikowa koronna [2]) która dawno mając chrap na pięknego karzełka, zaczęła przedstawiać starostwu niebezpieczeństwo trzymania w domu tego niedorodka. Aczkolwiek starościnie zdawało się tylko że była w pomienionym stanie, jednakowoż do przekonania trafiła perswazja sąsiadki. Karzeł przeszedł w jéj ręce, z czego i sam był rad wielce, rojąc sobie los świetny w domu tak znakomitéj i możnéj pani. Miecznikowa zabrała go do dóbr swoich Rychtów, na Podolu, gdzie zabawili z pół roku. *Joujou* jak go nazywano pieszczenie opływał we wszystko i był wielce rad ze swego położenia, ale jakże się ucieszył kiedy pani jego powzięła zamiar odprawienia podróży do Niemiec i Francji. Po długich przygotowaniach puszczono się nakoniec w drogę i zajechano do Wiednia, zatrzymawszy się, jak powiada, w nudnym Lwowie kilka miesięcy.

Zaledwo w stolicy Austrji gruchnęła wieść o przyjeździe miecznikowéj koronnéj posypały się jak grad wizyty i zaproszenia na asamble i obiady. Wkrótce też prezentowała się pani miecznikowa u dworu wraz

[1]) Była to z Morskich Stadnicka wdowa, z którą ożenił się Jan Jacek Tarnowski, chorąży ziemi Halickiéj; po jéj śmierci pojął Rozalję Czacką podczaszankę koronną.

[2]) Była za Stefanem Humieckim synem jenerała ziem podolskich, z domu Czartoryska, znakomite swego czasu matrona.

ze swoim *Joujou*, który wzbudził admirację Marji-Teressy utrzymującéj że nigdy niezdarzyło się jéj widzieć tak osobliwego karzełka.

Pisze on że pewnego razu znajdując się w jéj gabinecie był świadkiem, jak dworacy składali jéj powinszowania na wiadomość o odniesioném zwycięztwie austrjaków nad królem pruskim, z czego zaraz wnoszono niechybny tego monarchy upadek. Cesarzowa przy któréj właśnie stał *Joujou* zapytała go co polacy myślą o królu pruskim? „Najjaśniejsza pani,“ odpowiedział on, „niemam honoru znać tego pana; ale na jego miejscu, niemarnowałbym czasu na prowadzenie wojny z waszą cesarską mością. Natomiast wolałbym przyjechać do Wiednia i złożyć jéj moją czołobitność, a więcéjbym zyskał skarbiąc sobie przyjaźń tak wielkiéj monarchini, niż odnosząc nad jéj wojskami najświetniejsze zwycięstwa.“

Uradowana cesarzowa tą odpowiedzią wzięła go na ręce ucałowała i rzekła do miecznikowéj, że to prawdziwe szczęście mieć tak dowcipnego towarzysza podróży.

Innym razem tańczył on w obec Marji Teressy poloneza i tak się jéj podobał, że go posadziła na kolanach, pieściła, zadawała różne pytania, a między innemi, co mu się najbardziéj podoba w Wiedniu? On na to: „wiele rzeczy widziałem wzbudzających podziwienie cudzoziemców, ale to, co teraz widzę, przechodzi moje oczekiwania.“

„A cóż to takiego?“ zapytała cesarzowa.

„Że tak nikczemna istotka siedzi na kolanach tak wielkiéj pani!“

Cesarzowa miała na palcu pierścień z brylantową jéj cyfrą; owóż gdy przypadkiem ręka *Joujou* spoczęła na jéj ręku, zdawało jéj się że ten klejnot zwrócił uwagę karzełka, przeto zagadła go czy mu się ta cyfra podoba?

„Daruj mi wasza cesarska mość,“ odrzekł *Joujou*, „nie na pierścień patrzę lecz na rękę, na któréj chciałbym z pozwoleniem w. cesarskiéj mości złożyć pocałowanie.“ To rzekłszy przycisnął rękę do ust, która to galanterja tak ujęła cesarzowę, że natychmiast zdjęła ów pierścień, ale gdy był za wielkim na drobne paluszki karła, przywołała pięcioletnią panienkę, zdjęła jéj śliczny djamentowy pierścionek z palca i włożyła mu takowy. Panienką tą była Marja Antonina późniejsza królowa francuzka.

Jak widzimy edukacja *Joujou* na dworach polskich nieposzła w las. Podobne dworskie znalezienie się w szesnastoletniém chłopięciu, daje miarę o jego rozwiniętych zdolnościach, szczególniéj w sztuce pochlebiania.

Za przykładem cesarzowéj poszła reszta dworu, a mianowicie wszechwładny minister Kaunitz, który lubił rozmawiać z naszym Borusławskim i nazywał go swoim małym przyjacielem.

Pani miecznikowa siedząc w Wiedniu pół roku nieomieszkała zajmować się edukacją *Joujou*. Sławny wówczas nadworny baletmistrz Angelin dawał mu lekcje tańców i literatury; co widać chodziło w parze i uzupełniało się wzajemnie. Żali się Borusławski że krótkość czasu niepozwoliła mu więcéj korzystać. Miecznikowa bowiem spieszyła się do Monachjum, gdzie kurfirst przyjął ją najuprzejmiéj i równie jak w Wiedniu rozpływał się nad naszym bohaterem. Niedługo jednak tam bawiono, pomimo licznych rozrywek i traktamentów; miecznikowa jak najprędzéj chciała stanąć w Lunewilu i odwiedzić dwór Stanisława Leszczyńskiego. Sędziwy król przyjął ziomków swoich ze staropolską gościnnością i rozkazał natychmiast przyrządzić pokoje w pałacu dla pani miecznikowéj.

Na dworze króla był sławny wówczas karzeł *Bebé* uchodzący za nadzwyczajność, ale jak pisze *Joujou* miał on wszystkie wady przypisywane karłom, to jest: głupotę i złośliwość. Wzrostem nawet niemógł rywalizować z Borusławskim, bo miał dwie stóp i ośm cali miary, kiedy ostatni liczył tylko dwie stopy i cztery cale.

Z początku dość żyli ze sobą w przyjaźni, lecz gdy Bebé przekonał się że król lubi bawić się z przybyszem, uczuł niepohamowaną zazdrość i nienawiść ku niemu.

Pewnego dnia obydwa znajdowali się w gabinecie królewskim, a król ciągle bawił się rozmową z *Joujou* i wyciągał go na trafne odpowiedzi, zwrócił się w końcu do swego Bebé i rzekł: „widzisz jaka to różnica między nim a tobą; on mały, oży-

wiony, zabawny i dobrze ma w głowie, a ty stoisz jak gawron.“

Na te słowa zapałała twarz obrażonego karła i zaiskrzyły się oczy od gniewu. Zamilkł jednak, lecz gdy król wyszedł do pobocznego pokoju skoczył na Borusławskiego, porwał w pas i ciągnął do kominka aby go w ogień rzucić. Mniéj silny Borusławski opierał się jak mógł złym zamiarom przeciwnika i pewnie byłby odpokutował w ogniu za swoje przymioty i talenta, gdyby król usłyszawszy szamotanie się malców, niebył mu nadbiegł z pomocą. Przywołany kamerdyner miał sobie polecone dobrze oćwiczyć napastnika i niepozwalać mu pokazywać się na oczy królowi.

Joujou rozczulony błagał za winowajcą, ale od kary wyprosić nie mógł, tylko co do drugiego punktu wyjednał dlań przebaczenie. Zmartwiony tém *Bebé* wkrótce rozchorował się i umarł.

W czasie pobytu pani miecznikowéj w Lunewilu znajdował się tam hrabia Tressan, który bardzo zajął się Borusławskim i nawet z tego powodu napisał do wielkiéj Encyklopedji francuzkiéj artykuł pod tytułem: *Nain* (karzeł), gdzie bardzo korzystnie o nim się wyraził.

Obejrzawszy wszystko co było do widzenia w Nancy i Lunewilu i wziąwszy list rekomendacyjny do królowéj francuzkiéj córki Leszczyńskiego, wybrali się nasi podróżni do Paryża. Pierwszą czynnością pani miecznikowéj było wyrobienie sobie audjencji u królowéj, co przyszło łatwo, albowiem pani ta nawet na obcym tronie niepozbyła się uczuć przychylnych dla swoich rodaków. Udawszy się do Wersalu przyjęta była jak najlepiéj; królowa wypytywała się o osobliwego *Joujou*, o którym tyle słyszała i zapraszając panią miecznikowę do częstego bywania u dworu, życzyła oraz oglądać karzełka.

Za powrotem do Paryża mnóstwo osób cisnęło się do hotelu pani miecznikowéj pod pozorem złożenia atencji tak znakomitéj damie, a właściwie z ciekawości oglądania *Joujou*. Między innymi zachwycał się nim książe Orleański i wyprawiał sute obiady, byle go mieć na swoich pokojach. Książe Ogiński w. hetman litewski, bawiący w on czas w Paryżu, także go sobie upodobał, a bywając prawie codziennym gościem miecznikowéj wymógł na niéj, jako wielki miłośnik muzyki, aby Borusławskiego dała uczyć téj sztuki. Jakoż sławnego Gavinies dano mu za nauczyciela który go uczył grać na cytrze. Między innemi anegdotami opowiada jak u hetmana na obiedzie siedział schowany w wazie i jak na wety wyskoczył z niéj i zrobił niespodziankę licznym gościom, niezmiernie zaciekawionym coby się w niéj mieściło.

Słowem, polski karzełek wszedł w modę w Paryżu; o niczém niemówiono tylko o jego dowcipie, zgrabném ułożeniu, talentach i kształtnéj urodzie, a pani miecznikowa niemogła się prawie opędzić licznym znajomościom i zaprosinom na obiady i wieczory. Ministrowie, finansiści, literaci, artyści ubiegali się o zrobienie z nim znajomości. Sławny z wystawnego, lukullusoskiego życia jeneralny dóbr koronnych dzierżawca Bouret, wyprawił dlań obiad gdzie cała zastawa była do miary karła, a nawet i potrawy składały się z drobnéj zwierzyny. Panna Clairon obsypywała go grzecznościami; filozofowie rozprawiali o nim w Słowniku encyklopedycznym, a czy jaki okolicznościowy wierszopis wypalił doń odę? niepisze.

Nieporozumienie nawet, które z jego powodu zaszło w kole dworskiego świata, przyczyniło się że jeszcze bardziéj poszedł w górę.

Rzecz się tak miała.

Przypadek chciał żeby księżna Modeny, dama krwi królewskiéj, nieznalazła się na żadnym traktamencie wyprawianym *in gratiam Joujou*. Słysząc zaś wiele opowiadań o polskim karzełku, pragnęła go widzieć koniecznie. Z wysokiém jéj położeniem niezgadzało się żeby pierwsza oddała wizytę pani miecznikowéj koronnéj; wybrała zatem inny środek i napisała do niéj list zapraszający na asamble, dodając na końcu w przypisku te wyrazy: „Niezapomnij tylko pani przyprowadzić ze sobą *Joujou*.“

Pani miecznikowa Humiecka dumna rodem, majątkiem, wdziękami i wykształceniem, najgorzéj przyjęła te zaprosiny, widząc jasno że tylko z powodu *Joujou* spotyka ją ten zaszczyt, jakoż odpisała wręcz, że przykro jéj niemódz zadosyć uczynić rozkazom księżny, ale wszystkie dnie tak

ma zajęte, że niewie nawet, kiedy będzie mogła służyć jéj swoją osobą.“

Obraziła się tem księżna Modeny, skarżyła przed całym światem, a nawet przed królową, w nadziei że ta jako polka, skarci za ten wybryk swoją rodaczkę.

Królowa jednak w duchu uniewinniała panią miecznikowę, ale chcąc zapobiedz niepotrzebnym swarom, przywołała ją do siebie i prosiła żeby oddała wizytę księżnie modeńskiéj. „Powolna rozkazowi waszéj królewskiéj mości,“ odrzekła miecznikowa „gotowam złożyć wizytę księżnie, jednak nieczuję się w obowiązku prezentować jéj mojego *Joujou*.“

Postrzegła królowa Marja że ten krok nienaprawiłby nieporozumienia, lecz owszem sprowadził większe rozjątrzenie; dla tego wpadła na myśl żeby miecznikowa wraz z Borusławskim znajdowała się u niéj pojutrze na śniadaniu. Podobne zaproszenie otrzymała księżna Modeńska. Pani miecznikowa przybywszy z *Joujou* niepomału zdziwiła się widząc w kilka minut wchodzącą księżnę, która niemniejsze okazała zdziwienie na widok miecznikowéj. Obie jednak damy przy poznaniu nieszczędziły sobie komplementów, jakby nigdy nic między niemi niezaszło. Księżna nawet musiała się tak dobrze w roli swojéj utrzymać, że długo niezwracała żadnéj uwagi na *Joujou*, dopiero po chwili zbyła się przymusu, zwróciła się do karzełka i niemogła się nim dość nacieszyć i napieścić.

Po roku bawienia w stolicy Francji wśród ciągłych zabaw i przyjemności, nastąpił wyjazd pani miecznikowéj do Holandji. We wsi Hadze, która jest stolicą kraju i niejedno miasto urokiem swoim gasi, spędzono wiosnę doznając najuprzejmiejszego przyjęcia ze strony księcia Stathudera i jego rodziny. Po obejrzeniu wszystkich osobliwości krajowych, puszczono się do Niemiec, a przez Niemcy do Warszawy, gdzie sława poprzedziła już naszego małego bohatéra, nieznanego jeszcze w téj stolicy.

Z początku, jak pisze Borusławski, najznakomitsze osoby powodowane ciekawością oglądania nadzwyczajnéj istoty, cisnęły się na pokoje miecznikowéj, lecz wkrótce przekonano się że nie sama struktura ciała, ale dworskie ułożenie, nabyte wiadomości zagranicą, akcent francuzki, robiły obcowanie przyjemném z tą małą osóbką. Słysząc często gęsto swoje pochwały, stał się zarozumiałym o tyle że chciał na prawdę odgrywać rolę skończonego kawalera. Jakoż puścił się w towarzystwa eleganckiéj młodzieży, zabrał z fircykami znajomość, a ci go pociągnęli do teatru i aktorek. Pani miecznikowa spuszczając się na jego rozsądek, patrzała na to rozrzucone życie, przez szpary. Wyznaje on że stał się zapalonym zwolennikiem teatru; ale sztuki przedstawiane nierobiły na nim tyle wrażenia, ile widok uróżowanych i wygorsowanych aktorek i baletnic. To wszystko poruszyło w nim namiętność sercową. Gwałtem chciał się zakochać i zakochał się; a miał do tego wielką sposobność, gdyż panie i panienki uważając go za dziecko, brały na kolana i pieściły się jak z dzieckiem.

W trupie artystów francuzkich znajdujących się wówczas w Warszawie, odznaczała się jedna aktorka w rolach suberetek i była ulubienicą publiczności, a chociaż niemogła się liczyć do skończonych piękności, jednakowoż wesołym humorem przeplatanym rzewnością, umiała podbijać serca. *Joujou* widywał ją często i coraz więcéj czuł do niej pociągu. Pewnego razu gdy więcéj niż zwykle był pod wrażeniem czarującéj aktorki, na wychodném z teatru spotkał się z jednym, dobrze sobie znajomym kawalerem i proponował mu żeby się przeszli po mieście. Ale ten, wręcz odmówił, wymawiając się tém, że na kolację idzie do owéj ładnéj aktoreczki.

„Jakto, więc znasz ją?“ zawołał zdziwiony *Joujou*, „zazdroszczę ci tego szczęścia.“ — „Tego szczęcia możesz i ty dostąpić,“ odparł kawaler, „jeżeli chcesz przedstawię cię jéj i ręczę że będziesz jak najlepiéj przyjęty.“ Odpowiedź ta wprawiła go w nieopisane uniesienie. Nazajutrz wziął go ze sobą i prezentował aktorce. Przyjęcie było jak najlepsze, a na odchodném zaprosiny żeby ją najczęściéj mógł odwiedzać. Przymówka ta skutkowała jak oliwa na ogień. *Joujou* zakochany na śmierć, cały czas spędzał u stóp swojéj bogini, w mniemaniu, że doznawał najzupełniejszéj wzajemności. W niejaki jednak czas, spotkawszy się z owym kawalerem co mu uła-

twił poznanie się z aktorką, z niemałém pomieszaniem usłyszał od niego, że intryga miłośna, tak starannie tajona, jest przedmiotem pogadanki i żartów całéj stolicy. Aktorka pierwszemu lepszemu rozpowiada o jego zapałach strzelistych, przysięgach na stałość i śmieje się ze swego adoratora.

Odkrycie to raziło go jak piorunem. Zasłona spadła z oczu, ale tylko do pewnego czasu, jak to zobaczymy w dalszym ciągu. Z drugiéj strony od pani miecznikowéj gotowała się niemała burza. Dowiedziała się ona o jego nocnych wycieczkach, późném wracaniu do domu i o stosunkach z zawołanymi rozpustnikami, w tym celu więc nasłała nań poważnego człowieka, który mu przedstawił jak smutne skutki pociągnąć może tak nieregularny sposób życia i przestawanie z osławionymi ludźmi.

Skruszył się biedny *Joujou*, przyrzekł poprawę i rzeczywiście w krótkim czasie znowu odzyskał względy swej pani i osób bywających w jéj domu.

Między innemi wspomina jak był przedstawiony Stanisławowi Augustowi, który go łaskawie przyjął i dotąd łaską swą zaszczycać nieprzestaje. Nadmienia także o siostrze swojéj Anastazji, karlicy, zostającéj na dworze pani z Potockich Kosakowskiéj kasztelanowéj kamieńskiéj. Miała ona być jeszcze mniejszą od swego brata, ale serca równie czułego bo zakochała się na zabój w młodym dworzaninie; ale wybito jéj z głowy te amory, poczém dostawszy odry, umarła we Lwowie.

Wracając do naszego *Joujou*, zdawało się że po pierwszéj próbie na zawsze uleczył się z miłośnych szałów, ale niedługo zaszła okoliczność, która w nic obróciła wszystkie jego postanowienia. Na widok ładnéj panienki, wstępującéj w dom pani miecznikowéj koronnéj tytułem *respektowéj*, zmiękło jego serduszko. Izalina Barboutan pochodziła z rodziny francuzkiéj, oddawna zamieszkałéj w Warszawie, lecz zostającéj w mierności. Układ jéj wdzięczny, a łagodność i dobroć więcéj niż uroda wzbudziły przywiązanie w karzełku, tém snadniéj że ciągle zostawał w jéj towarzystwie. Nieokazywał jednak tego uczucia, owszem owe pieszczoty jakiemi zazwyczaj obsypywała go płeć piękna, były dlań nieznośne; ilekroć Izalina chciała go traktować jak lalkę lub dziecko, uciekał od niéj i wpadał w głęboki smutek. Ona to widząc powtarzała w najniewinniejszy sposób, że *Joujou* wszystkie kocha, a jéj jednéj tylko niecierpi. Można sobie wyobrazić co się działo w sercu zakochanego.

Przez cały rok blizko nosił się on ze swojém przywiązaniem, robiąc wszystko aby zyskać przychylność Izaliny. Nakoniec pasując się z myślami, odpychając podobieństwo tego związku i znowu wierząc że może przyjść do skutku, jeżeli panna zezwoli, odważył się powiedzieć że ją kocha.

Pewnego wieczoru sam znajdując się z nią w pokoju bawialnym, siedział milczący, a na twarzy jego malowało się głębokie cierpienie.

„Co ci to *Joujou?*” zapytała Izalina z widocznem współczuciem. „Jakiż cię smutek dręczy, czy i do mnie niemasz zaufania że mi niechcesz powiedzieć?”

„Któż jeśli nie ty, jesteś przyczyną moich udręczeń!” zawołał *Joujou* i więcéj już niemógł przemówić, tylko łkając ciągle głowę położył na jéj kolanach i powtarzał przerywane wyrazy: „miłość... przywiązanie... nieszczęście.....”

Zmieszała się panna, lecz po chwili przychodząc do opamiętania, rzekła: „Dziecko jesteś mój *Joujou;* śmiech mię bierze na twoje szaleństwo. Czyliż ci zabraniałam kiedy kochać mię? I owszem wymawiałam nieraz że mię jednę nielubisz.”

Odpowiedź ta skonfudowała amanta, na darmo silił się jéj dowieść że ją kocha nie jak dziecko i że inaczéj chce być kochanym... Dziewczyna parskła mu w oczy śmiechem i wyszła z pokoju. Z tém wszystkiém cieszyło go niepomału że się raz zdobył na oświadczenie i że ona wie jakiém uczuciem dla niéj pała. Resztę zdawał na potęgę uczucia, które miało wszystkie trudności uprzątnąć.

Zawiódł się jednakże, bo Izalina ciągle zbywała go żartami i w śmieszność obracała jego afekta. Pewnego razu spytała go złośliwie: czy ją niebierze za ową małą komedjantkę i przez ile dni będzie w niéj jeszcze zakochany?

Aluzja ta do amorów z aktorką francuzką, głęboką zadała mu ranę. Opuściły go siły, położył się w łóżko i przez dwa miesiące ciężko chorował.

Przyszedłszy do zdrowia, upatrzył chwilę kiedy była sama w pokoju i wyznał jéj że ona była przyczyną jego cierpienia. Uniewinniała się dziewczyna, ale zarazem prosiła go ażeby zaprzestał podobnych wybuchów, bo te do niczego niedoprowadzą; *Joujou* wziął to jednak za dobrą wróżbę i wyperswadował sobie że jego sprawa najlepiéj idzie, gdyż Izalina wydała mu się wzruszoną jego cierpieniami.

Nabiwszy sobie tém głowę zaczął do niéj pisywać listy. Noszą one datę z r. 1779. Jest to zbiór gorących afektów, wyrzutów na nieczułość, skarg na losy. Izalina odpowiadała kiedy niekiedy, zaklinając go aby przestał ją dręczyć. Nic niepomogło, *Joujou* wymownie jéj przekłada że nie ma potrzeby obawiać się śmieszności podobnego związku; miłość jego nieograniczona wystarczy za wszystko. Tymczasem wieść o tym romansie dochodzi uszu miecznikowéj, przywołuje *Joujou* do siebie, wypytuje, on wyznaje. Ona bierze to za żart, ale gdy rozkochany pada jéj do nóg i mimo wszelkich z jéj strony perswazji, ciągle leżąc na ziemi błaga o rękę Izaliny, miecznikowa woła lokaja, każe go podnieść, wyrzucić za drzwi i zamknąć na klucz w pokoju.

Osadzony w kozie domowéj przekupuje lokaja i pisze do Izaliny, która nieomieszkuje odpowiedzieć, jako dostała podobnąż reprymendę, co tém bardziéj ją dziwi, że nigdy nikomu niepoczytywano za występek kochać dziecko.

Po tygodniowym areszcie kazała pani miecznikowa stawić przed sobą więźnia i spojrzawszy nań z politowaniem rzekła: „Jakże ci tam, mój *Joujou!* Czyś się już rozmyślił? przykro mi było karać cię, ale dla twego własnego dobra musiałam surowo postąpić z tobą. Jeżeli ani perswazje, ani zdrowe rady niemogą nic pomódz, trzeba było uciec się do surowego środka i głupstwo z głowy wypędzić.”

Joujou płakał tylko i milczał.

„Pójdźno wpan tu bliżéj,” zawołała miecznikowa „i przyrzecz mi że o tém głupstwie zapomnisz. Z poprawą wróci ci moja przychylność.”

„Niemogę nic przyrzekać jaśnie wielmożnéj pani” odparł *Joujou*, „bo to przechodzi moje siły. Już się stało! żadna moc ludzka od Izaliny mię nieoderwie.....”

Odpowiedź ta stanowczo wzburzyła miecznikowę, która powstawszy z kanapy wskazała mu palcem drzwi, dodając „żeby się jéj niepokazywał na oczy, dopóki się inaczéj nierozmyśli.....”

„To nigdy podobno niebędę miał szczęścia oglądać jaśnie wielmożnéj pani,” odparł *Joujou* i wyniósł się z pokoju. Postrzegłszy pani miecznikowa że romans ten zaszedł daléj niż sobie wyobrażała, kazała natychmiast odesłać Izalinę do rodziców.... a w kilka dni marszałek przyszedł do *Joujou* z poleceniem swéj pani, że jeżeli mu rozum dotąd niewrócił, tedy zostaje wolnym i może iść gdzie mu się podoba.

„Taki rozkaz niemoże pochodzić od mojéj dobrodziejki!“ zawołał *Joujou* z przerażeniem, ale przypomniawszy sobie pod jakim warunkiem wolno mu zostać, nabrał krwi zimnéj i rzekł: „Przykro mi utracać względy méj pani, ale jak postanowienia mego niezmienię, tak też niezapomnę póki życia dobrodziejstw doznanych w jéj domu. Proszę to oświadczyć pani miecznikowéj.“

Biedne karlątko znalazło się od razu bez dachu i bez pieniędzy. Smutno mu było porzucić dom gdzie tyle lat przeżył, ale miłość dodawała mu męztwa, miłość podszepnęła mu żeby się udał do księcia Kazimierza Poniatowskiego podkomorzego koronnego.....

Książe przyjął go dobrze, uśmiał się z romansu i obiecał wyrobić mu protekcję u króla.

W kilka dni przysłał po niego książe podkomorzy i zapytał na wstępie czy nie ma chęci wrócić do pani miecznikowéj Humieckiéj. Jeżeli się nienamyślił, tedy użyje wpływów swoich aby został w dom przyjęty; jeżeli zaś przeciwnie, czy zawsze trwa w zamiarze ożenienia się z Izaliną?

Joujou odpowiedział że lubo niewygasłą chowa wdzięczność dla miecznikowéj, jednakowoż niemoże dopełnić warunku jaki mu kładzie.

„Jeżeli już tak uparłeś się,“ odrzekł książe, „tedy postaraj się przynajmniéj o zezwolenie matki Izaliny; reszta pójdzie łatwo.“

Zezwolenie matki okazało się rzeczą najłatwiejszą; skoro bowiem dowiedziała się że narzeczonego proteguje książe podkomorzy i król, sama skłaniała wahającą się jeszcze córkę, aby niegardziła tak świetnym losem.

Książe podkomorzy dotrzymał słowa; przedstawił go królowi który mu zapewnił protekcję i wyznaczył rocznéj pensji sto dwadzieścia dukatów. Nuncjusz tylko apostolski stawiał przeszkody nierównemu związkowi. Był to poczciwy i roztropny Durini, ale królewska powaga usunęła te zawady. I tak ów dziwny marjaż, przeciw któremu protestowała poważna matrona polska i kościół, odbył się z wszelkiemi ceremonjami i wśród tłumu warszawian zbiegających się na to widowisko.

Joujou dopiąwszy swego celu czuł się bardzo szczęśliwym, ale jak sam wyznaje trapiła go obawa o przyszłość. Przywykły do wygód i zbytków pańskiego dworu, niewidział możności utrzymania się ze szczupłéj pensji królewskiéj, zwłaszcza że po kilku tygodniach pożycia z żoną nabrał pewności zostania ojcem, co jeszcze bardziéj napełniło go frasunkiem. Niewypadało jak zrobić jakiś krok stanowczy i szukać we własnych siłach i środkach sposobu egzystencji. Wykształcenie jego ograniczało się do kilku przyjemnych talentów towarzyskich, z resztą nic takiego nieumiał coby chleb dawało. Niektórzy protektorowie wzruszeni położeniem *Joujou*, radzili mu aby puścił się zagranicę; szczególniéj nastawał na to książe podkomorzy, fundując się na tém, że w czasie pierwszéj podróży z panią miecznikową porobił tyle znajomości na dworach monarszych, a gdy jeszcze dowiedzą się że został ojcem familji i nie ma utrzymania, niewątpi iż znajdzie takich co się zajmą jego losem.

Widoki te i nadzieje zawróciły głowę Borusławskiemu, który przełożył swój zamiar królowi, ten go pochwalił i rozkazał koniuszemu swemu, aby go zaopatrzył wygodnym powozem do podróży.

Jakoż zebrawszy manatki, w towarzystwie połowicy wyruszył d. 21 Listopada 1780 r. z Warszawy i 26 Listopada stanął w Krakowie, gdzie żona jego po długiéj chorobie powiła mu, jak pisze, prześliczną córeczkę.

Odtąd we troje puścili się w dalszą drogę do Wiednia, ale na nieszczęście Marja-Teressa już nie żyła! Strata takiéj dobrodziejki była dlań niepowetowaną. Z tém wszystkiém została dusza jéj rządów minister Kaunitz, któremu złożył winną atencję, najlepiéj był przyjęty i wraz z małżonką zaproszony na obiad. Lubo z powodu żałoby po cesarzowéj niebyło u dworu głośnych asamblów, jednakowoż kwiat wiedeńskiéj magnaterji zbierał się codziennie na wieczór do Kaunitza. *Joujou* znajdował się na takim wieczorze i poznał się tam z angielskim posłem, sir Robertem Muray Keith, który stał się późniéj głównym powodem że nasz podróżujący karzełek pojechał do Anglji.

Mimo jednak zajęcia się tą malutką osobą w stolicy cesarstwa, do kieszeni nic niewpływało; owszem co było gotówki wydało się na kosztowne utrzymanie w hotelu i gdyby nie list kredytowy dany mu na wyjezdném z Warszawy przez jednego przyjaciela, bardzo krucho byłoby z naszym wojażerem. Wprawdzie spodziewał się on mieć znaczny dochód z koncertu, ale był to czas żałoby; a powtóre tylu już koncertantów stało na liście, że Bóg wié kiedyby koléj przyszła na niego. Szczęściem znalazł w panu Guntherze gabinetowym sekretarzu cesarskim życzliwą protekcję, który tak nalegał na dyrektora teatru pana Dorval, że tenże pierwszeństwo przed innymi dał karzełkowi, grającemu, ile mogłem z jego pamiętników wyczytać, na cytrze, dość nieszczęśliwym instrumencie.

Koncert ożywiło liczne zebranie się magnaterji wiedeńskiéj. Koncertant wyciął perorę do publiczności w któréj uniewiniał się ze swego położenia zmuszającego go do wystąpienia. Przed dwódziestą laty widział go Wiedeń opływającego w dostatkach (pani miecznikowéj) teraz dla utrzymania żony i dziecka, niepozostało mu jak uciec się do łaskawych względów publiki. Niewiemy czy słuchacze zadowoleni

byli z muzyki, ale kassa *Joujou* pokrzepiła się cokolwiek. Zdaje się jednak że niewszyscy obiecywali mu powodzenie muzykalne; między innymi baron de Bréteuil ambasador francuzki, wziąwszy go na stronę, mówił w sposób bardzo praktyczny: „Kochany przyjacielu, niespuszczaj się na koncerta, bo te niedadzą ci utrzymania. Daleko korzystniéj byłoby dla ciebie żebyś się pokazywał za pieniądze.”

Duma szlachcica wychowanego na pańskich dworach, niezmiernie nad tém upokorzeniem swojém bolała. *Joujou* cenił swoją godność, wewnętrznie czuł się równym każdemu, a tu świat chce aby się pokazywał za pieniądze!!

Wszystko spiknęło się przeciw niemu, bo nazajutrz i książe Kaunitz tę samą dawał mu radę i to w obecności licznego towarzystwa dam i kawalerów.

Słysząc to angielski ambasador sir Keith znajdujący się na owym wieczorze, zajął się biednym karzełkiem nakłaniając go do podróży do Anglji, przyczem ofiarował mu rekomendacyjne listy do najznakomitszych osób w Londynie, przez które mógłby uzyskać wstęp u dworu i dać się poznać całéj wyższéj arystokracji. Książe Kaunitz obecny téj rozmowie, przytakiwał ambasadorowi przedstawiając jakie ztąd dla niego wypłyną korzyści.

Niemógł więc dłużéj się namyślać i rad nierad przyspieszył swój wyjazd z Wiednia. Nim jednak puścił się do Niemiec, pojechał do Prezburga, dokąd go była zaprosiła hrabina Feguetty, ztamtąd skoczył do Lincu do hrabiego Thierheima u którego dawał koncert. Akompanjowało mu piętnastu muzyków, młodych chłopców z nadwornéj kapeli hrabiego, ale spektatorów było niewiele; to téż wyznaje, że to był: mały koncercik, mali muzykanci, mała muzyka i mały dochód. Natomiast córeczka hrabiego Thierheima prosiła ojca aby jéj koniecznie kupił tego karzełka, który w jéj pojęciu wydawał się jak duża lalka.

Ztamtąd wojażer nasz zawinął do Ratyzbony, lecz niezastawszy tam księcia Thurn-Taxis, do którego był rekomendowany, pojechał do jego rezydencji w Tischingen. Książe z razu niechciał go widzieć powiadając że nieciekawy to przedmiot i że od czasu jak widział karła miecznikowéj Humieckiéj, nigdy się niespotkał z równie interesującém stworzeniem. Ależ to właśnie on sam duszą i ciałem odpowiedziano księciu, a przytém ma listy z polski od córki księcia będącéj za księciem Radziwiłłem. Taka rekomendacja otworzyła mu wstęp na dwór książęcy i zyskała przychylność, tém więcéj że przywiózł od córki ustne polecenie, a między innemi żeby jéj ojca pocałował tym samym pocałunkiem który ona złożyła na jego ustach w Warszawie. Rozrzewniło to staruszka i odtąd najgościnniéj go podejmował. Od niego pojechał do drugiego zięcia książęcego, a tym był książe Oettingen-Wallerstein. Z tamtąd do Triesdorf gdzie rezydował margraf brandebursko-anspachski i na dworze tym spotkały go najliczniejsze dobrodziejstwa. Bawiła tam panna Clairon, sławna niegdyś aktorka którą znał w Paryżu; ona to mająca u margrafa wzięcie, tak gorliwie przemówiła za *Joujou*, że margrafstwo wzięli mu córeczkę na wychowanie, a na drogę obdarzyli hojnemi podarunkami w precjozach i gotówce. To pewna, że *Joujou* niemiał przyczyny narzekać na możne dwory, gdyż wszędzie gdzie tylko zawitał obdarzano go tabakierkami pełnemi dukatów, pierścieniami, a i żonie nawet sprawiano garderobę.

Po umieszczeniu córki na opiece margrafostwa spieszyło mu się do Anglji. Ruszył więc przez Frankfurt nadmeński, Manheim do Strasburga, gdzie księżniczka Krystyna królewna polska dopomogła mu do dania koncertu, a na odjezdném obdarzyła złotą tabakierą.

Ze Strasburga puścił się do Brukseli gdzie się prezentował jeneralnemu namiestnikowi austrjackich Niderlandów i w przepysznéj sali dawał koncert. Ztamtąd przez Ostendę udał się do Londynu, doświadczywszy w czterodniowéj żegludze nieuniknionéj burzy na morzu.

W stolicy W. Brytanji obciążony licznemi listami rekomendacyjnemi stanął, jak pisze, w Marcu 1782 r. Pierwszą jego czynnością było prezentować się przewodzącym w towarzystwie księstwu Devonshire. Przyjęcia doznał jak najlepszego, a księżna z całym wdziękiem i delikatno-

ścią wielkiéj pani, prosiła go aby w każdém przykrém położeniu, uciekał się do nich, a zawsze znajdzie pomoc i protekcję. W rzeczy saméj niebyły to czcze słowa; bo zaraz nazajutrz zapłacono mu wygodną i przyzwoitą stancję, przysłano krawca z gotowym ubiorem bardzo eleganckim, a nawet doktora do chorej żony. Poszedł karzełek do księstwa podziękować za łaski świadczone tak hojnie i spotkał się z lady Spencer, która go zaprosiła do siebie. Stawił się na oznaczony dzień i zastał tam księcia Wallji któremu był prezentowany. Rulon gwinejów i piękny zegarek był wizyty téj konkluzją.

Pewnego razu zabrali go z sobą księstwo Devonshire do olbrzyma który się pokazywał w Londynie. Ogromowi temu mającemu z górą ośm stóp angielskich sięgał on tylko do kolan. Dwie te ostateczności niezmiernie bawiły publiczność. Obok wdzięczności jaką wynurza dla księstwa Devonshire stale zajmujących się jego losem i ułatwiających mu poznanie najznakomitszych osób w Londynie, poświęca kilka wyrazów panu Bukatemu posłowi króla polskiego, za to że mu wstęp zrobił do grafa Brühla posła saskiego, którego żona hrabina Egremont wyrobiła mu prezentację u dworu, w następujący dowcipny sposób. Pewnego dnia kazała sobie przynieść trzewiczek *Joujou* i wypchawszy go bawełną pokazała królowéj. Widok trzewiczka wzbudził chęć widzenia człowieka. Jakoż w jéj towarzystwie udał się do dworu, gdzie miał szczęście w gronie króla, i królowéj i całéj ich rodziny zostawać przez cztery godzin. Jednak ceremonjalną tę wizytę przypłacił zdrowiem, bo zaraz dostał gorączki i tylko staraniom królewskiego nadwornego medyka winien, że po kilku tygodniach wstał z łóżka.

O wizycie téj u dworu pisały gazety, dodając że królowa obdarzyła go znaczną sumą; była to jednak bajka, gdyż oboje królestwo traktowało go jak polskiego szlachcica; a chociaż pisze on, niebyłoby z ujmą honoru przyjmować podarunki od tak dostojnych osób, jednakowoż daleko więcéj mu pochlebiała ta dystynkcja, niż żeby tę wizytę nagrodzono pieniędzmi. Zdaje się jednak iż pomimo wziętości w wielkim świecie londyńskim stan materjalny *Joujou* niezawsze bywał pomyślny; świetne znajomości niezasłaniały go od niedostatku, a ciągłe przypominanie się względom trąciło żebractwem do czego nie rad się przyznawał. Jedni radzili mu przeto aby się niespuszczał na niepewne dobrodziejstwa i wziął się do dawania koncertów; późniéj gdy koncerta niezwabiały nikogo, radzono mu pokazywać się za pieniądze z początku po gwinei od osoby, następnie po pięć szylingów, nakoniec po pół korony. Tą koleją przechodził nasz *Joujou* co wszyscy kuglarze, którzy raz nasyciwszy ciekawość publiczności, coraz spadają w cenie. Do téj jednak ostateczności przyszedł późniéj; długo bowiem jeszcze w Londynie uchodził za nowość i pierwszy koncert jaki wyprawił w Carlisle-House, pomimo znacznych kosztów (zapłaciła je księżna Devonshire) przyniósł mu niemały dochód. Mniemając że publiczność smakuje w jego talencie, wkrótce drugi dał koncert, ale ciekawych niebyło, a koszta przeniosły dochód. Na zimę pojechawszy do Bath gdzie się zgromadzał elegancki świat angielski, dawał raz śniadanie, za biletami, co mu przyniosło nie zły dochód.

Po roku bawienia w stolicy namówił go jakiś francuzki awanturnik nazywający się markizem de Montpellier, żeby jechał do Irlandji gdzie ma wielką zażyłość z najpierwszymi magnatami. Ułożyli się zatém między sobą, żeby markiz pojechał dwoma tygodniami wprzód i tam trąbił jego sławę i przysposabiał opinję. Za przybyciem do Dublina przekonał się *Joujou* że trafił na oszusta, który żył jego kosztem, a o sławie bynajmniéj niemyślał. Zawód ten wynagrodził mu wielkorządzca Irlandji, obsypujący go łaskami, a raczéj gwineami. Pokazuje się że tam musiały mu wcale dobrze iść interesa, kiedy przez trzy lat potrafił się osiedlić *w zielonym Erynie*.

Za powrotem do Londynu zastał tam księcia Ogińskiego w. hetmana księstwa litewskiego, znanego mu z Paryża. Książe jak wiadomo wielki miłośnik muzyki, przytém mający tę zasługę że naszego *Joujou* wykierował na muzyka, zajął się koncertem na którym *Joujou* miał się popisywać. Liczono zapewne na to że mieszkańcy Lon-

dynu zapomnieli o wrażeniu jakie na nich przed trzema laty zrobiła cytra Borusławskiego; pokazało się jednak że niezbyt byli ciekawi słyszenia maleńkiego wirtuoza, kiedy koncert nie bardzo się powiódł i byłby zapewne nic nieprzyniósł, gdyby hetman Ogiński, niebył z własnéj kieszeni opłacił koszta koncertowe.

Tymczasem jak widać z opowiadania, źródła dochodów wysychały coraz więcéj dla *Joujou*, kiedy życzliwi doradzcy, niewidzieli dlań innego sposobu, tylko żeby opisał przygody życia swego i takowe ogłosił drukiem przez zebranie prenumeraty. Wziął się tedy do pisania, zapewne z czyjąś pomocą, ale wspomnienia lat tylu nielały się od razu na papier, a tu trzeba było żyć i niczém się niekłopotać; bo przy kłopotach nietylko nieprzychodzą myśli, ale i pamięć tępieje. Zresztą jak tu pisać, kiedy wierzyciele dopominają się co chwila, a w sklepie nie chcą już dawać na kredyt, a gospodarz grozi wyrzuceniem ze stancji!... a małżonka utyskuje na biedę i wzdychając powiada że jéj świat zawiązał! W takich to obrotach znajdował się *Joujou* kiedy przybyła do Londynu księżna marszałkowa Lubomirska; dowiedziawszy się o jego smutném położeniu przyszła mu w pomoc, kazała sobie podać rejestr jego długów (wynoszący kilkadziesiąt funtów sterlingów) i zapłaciła takowe. Tym sposobem wydać mógł swoje pamiętniki które wyszły w Londynie r. 1788. Trzeba jeszcze wiedzieć, że pensja wypłacana mu ze szkatuły króla Stanisława Augusta, ustała niebawem po jego przybyciu do Anglji, a to w skutek fałszywéj wieści rozpuszczonéj w Polsce, jakoby *Joujou* złożył już sobie sześć tysięcy funtów i takowe oddał do banku....

O dalszych jego kolejach dowiadujemy się z pism publicznych angielskich, piszących o nim gdy umarł. Tkliwa Izalina, a raczéj roztrzepana Izalina, którą kochał tak tkliwie, widząc niedostatek wkradający się do ich mieszkania porzuciła go. On sam utrzymując się ze szczodrobliwości znajomych sobie panów, dożył bardzo późnego wieku, umarł bowiem w r. 1837, mając lat 98.

Portretów jego znajduje się wiele po różnych miejscach. *Britisch-muzeum* posiada jeden, na którym Borusławski przedstawiony jest w mundurze pułku kawalerji buławy wielkiéj koronnéj; tak bowiem ubierano go w latach młodych. Dołączona do tego artykułu rycina, wziętą jest z tytułowéj karty jego pamiętników.

Godnym zastanowienia jest także długi wiek Borusławskiego. Zazwyczaj utrzymywano że karły żyją krótko; tymczasem znajduję drugi przykład dowodzący długowieczności podobnych niedorodków. W czasie pobytu króla Stanisława Augusta w Kaniowie pisze w swoim djarjuszu hr. Kazimierz Konstanty Plater, że królowi był przedstawiony karzeł, szlachcic podlaski nazwiskiem Nurzyński liczący sobie sto dziesięć lat. Twierdził on że służył pod Janem III w wyprawie wiedeńskiéj i za największe sobie poczytywał szczęście, że był w Wołczynie w czasie chrztu N. Pana. Zdaje się jednak że bałamucił, bo mając wtenczas lat siedm niemógł brać udziału w wyprawie jako towarzysz pancerny. To jednak pewna, że za świadectwem pana Miera kasztelana Inflanckiego powołującego się na metrykę Nurzyńskiego, tenże nieliczył wtedy sto dziesięć lat zupełnych. Bądź jak bądź, fakt ten powtórny daje zaprzeczenie tym badaczom, co twierdzili że karły z kompleksji swojéj nie mogą żyć długo. Być może że tylko polskie karły, zapewne osobliwe w swym rodzaju, mają ten przywiléj, a przytém mogą pałać tak gwałtowną miłością jak Borusławski i odgrywać niemal rolę bohatéra romansu.

BOLESŁAW WYSOKI.

(Legenda wyjęta z kroniki anonima drukowanéj około r. 1285.)

Niemiecki cesarz Konrad oblegał gród medjolański na czele wojowników dzielnych, ale niemógł pokonać walecznych jego mieszkańców którzy bronili się mężnie. Znużeni żołnierze od dnia do dnia odkładali przypuszczenie szturmu, a tymczasem

niemała ich liczba padała pod ciosami nieprzyjaciół, robiących codzienne wycieczki pod wodzą rycerza-olbrzyma. Rycerz ten szedł na wojenne harce jak na grę ucieszną niespoczywając i chwili, a strzały i cięcia mieczów z głuchym dźwiękiem odbijały się od jego zbroi, nieskaziwszy nawet najmniejszą kresą słonecznego jéj blasku. Spoczywając pod bogatym namiotem, wsparłszy głowę na ręku zadumał się nieraz cesarz Konrad, nad tém jak zdobyć potrafi miasto jeżeli ten najmężniejszy z mężnych przewodzić będzie ciągle oblężonym? „Jedjolańczyk, potrafił zastraszyć potomków najpierwszych rodzin niemieckich, zgromadzonych tutaj... Niepowiedzą że ulękliśmy się jego olbrzymiego miecza! Ja pierwszy jutro stanę do walki z nadzieją w sercu że jak ów Dawid Goljata, zwyciężę śmiałka którego zuchwalstwo nie zna już granicy!“ Jak wyrzekł tak uczynił szlachetny Otto i na drugi dzień już nie widział zachodu słońca, bo padł w nierównéj walce z olbrzymem. Poszedł za nim Wilfrid z Hemisberga, Konrad z Odensteinu, dzielny margraf Fryderyk i wielu innych, a cesarz Konrad



W jednéj ręce trzymał głowę olbrzyma a drugą uchylał przyłbicę.

dnego tylko znam rycerza któryby mu sprostał zręcznością i siłą,“ mówił pewną razą do otaczających „lecz ten daleko ztąd w północnéj swéj krainie i nie marzy pewnie obecnie o wojennych zapasach.“

„Szkoda tém większa że go tutaj niéma,“ ozwał się jeden z dworzan, „skoro dziś właśnie olbrzym medjolański miał wyrzec, że niebędzie narażał więcéj swych rodaków na wycieczki z miasta, lecz natomiast wyzywać chce z kolei naszych rycerzy, na walkę pojedynczą jeden na jednego....“

„Czyż sądzicie że mu sprostać niezdołamy,“ zawołał popędliwie Otto z Lichtenburga, najdzielniejszy wódz Konrada, „o! na Bóg żywy niepowiedzą że jeden me-

płakał śmierci swych walecznych. Pewnego wieczoru gdy siedział w gorzkiéj pogrążon zadumie, straż odźwierna znać dała że rycerz z dalekiéj przybyły krainy o posłuchanie co rychléj prosi. Cesarz tknięty niby przeczuciem dobréj wieści, natychmiast go wpuścić rozkazał. Gdy nowo przybyły wchodził do namiotu nachylić się musiał we drzwiach, a gdy wyprostował wyniosłą postać to głową dotknął górnego sklepienia. — „Kto jesteście?“ zawołał Konrad drżąc od niecierpliwości, „jednego tylko znam człowieka który temu podobny wzrostem“ dodał ciszéj.

„Pielgrzym z dalekiéj krainy, przychodzę ofiarować wam moje usługi cesarzu, żąda-

jąc w zamian wymiaru sprawiedliwości,“ odparł stłumionym głosem nieuchylając przyłbicy nieznajomy.

„Przysięgam słowem rycerskiém że ją znajdziecie u mnie, lecz powiedzcie wpierw w jaki sposób chcecie mi usłużyć,“ rzekł żywo cesarz.

„Pragnę uwolnić was od nieprzyjaciela który chłonie codziennie nowe ofiary. Pragnę walki na śmierć z olbrzymem dziesiątkującym szeregi wasze.“

„Na mą koronę!“ zawołał wyciągając rękę Konrad, „nie odmówię nic temu, który mi przyniesie jego głowę.“

„A więc do jutra miłościwy panie!“

„Do jutra mój waleczny!“ I rozeszli się na spoczynek. Cesarz marzył że wstrząsając uciętą głową olbrzyma widzi rozpadające się mury oblężonego miasta, nieznajomy zaś śnił, że taż sama głowa w ręku jego przemieniła się w powietrzny okręt, na którym żeglował w rodzinne strony, gdzie witała go z dala radosna niewiasta i małe dziatki.

Nazajutrz rano olbrzym zbrojny od stóp do głowy jak zazwyczaj, wystąpił wyzywając do walki przeciwników. Długo nikt niewystępował ze ścieśnionych szeregów i już zniecierpliwiony rycerz począł szydzić gorzko z nieprzyjaciół, gdy nagle ukazała się w szrankach zbrojna postać tak podobna mu wzrostem i budową, że się cofnął zdumiony jéj widokiem. Ochłonąwszy wkrótce z pierwszego wrażenia, dobył miecza i natarł żywo na nieznajomego. Krótka lecz straszna była walka, olbrzym medjolański padł przeszyty włócznią nurzając się we krwi potoku.

Cesarz Konrad czekał niespokojnie końca boju, a gdy odgłos trąby oznajmił, że jeden z zapaśników legł na placu, powstał szybko niemogąc dosiedzieć dłużéj; w téjże chwili rozwarły się drzwi namiotu i wszedł rycerz nieznany. W jednéj ręce trzymał głowę olbrzyma a drugą uchylał przyłbicę.

„Bolesław *Wysoki!*“ zawołał wyciągając ku niemu ramiona Konrad, „nie myliły mię przeczucia.“

„Tak jest, najjaśniejszy panie,“ rzekł przyklękając zwycięzca. „Widzisz przed sobą nieszczęśliwego syna księcia polskiego Władysława Wygnańca, męża Adelaidy siostry twéj małżonki, która dzisiaj wraz z drobnemi dziatki nié ma gdzie spokojnie złożyć głowy i ukryta w Erfurcie wygląda rychło pomoc twoja zbawi od złéj doli, zgotowanéj przez stryja mego Bolesława, który zagarnął chciwie dzielnicę naszą.

Podniósł szybko walecznego szwagra Konrad, do piersi przycisnął, a następnie wypowiedziawszy mu wdzięczność swoją, odesłał do polskich krajów z oddziałem wojska, które mu dopomódz miało w odzyskaniu utraconego dziedzictwa. Następne podanie mówi, że Bolesław Wysoki wsparty posiłkami cesarza, odzyskał swą ziemię i zbudował na niéj zamek Lignicę, siedlisko szczepu Piastów w najdłuższe lata.

A. z Ch. Borkowska.

USTĘP ZE WSPOMNIEŃ KATARZYNY Z L. LEWOCKIÉJ.

W Czerwcu 1842 r. gdy listem powitałam przybyłą z Paryża do Wrocławia, Klementynę z Tańskich Hofmanową, zbliżoną cokolwiek do Polski po jedynastoletniém oddaleniu, odebrałam od niéj następującą odpowiedź: „o! moja ty *siostro serca mego*, jakże mnie do żywego przejęła sama data listu twego! pisany 2go, a ja czytałam go już czwartego! Czemuż to człowiek tak się przemknąć jak papierek nie może, tak i tam polecić, gdzie i jakby serce chciało! Czybyś i ty nie mogła przybyć tutaj lub w Poznańskie, gdzie dam ci wiedzieć kiedy będę? Takbyśmy wiele do mówienia miały!.. Czy twoje serce nie wynajdzie jakiego sposobu, żebyśmy się choć jeden dzień widziały?” i t. d.

Rozradowało mi się serce gdy wkrótce potém zdrowie moje zapotrzebowało wód szląskich i gdy otrzymałam paszport, dość trudny do uzyskania w owych czasach. Skoro śród moich znajomych rozeszła się

wieść o moim niebawnym wyjeździe i że się mam zjechać z ukochaną autorką *Rozrywek*, zaczęto mi znosić w darze dla niéj, rozmaite nowo wychodzące pisma perjodyczne i dzieła z własnoręcznym hołdem dla niéj od wydawców, autorek i autorów; wiersze i prozę na jéj cześć naprędce złożone. Słowem, iż kto tylko z piszących był podówczas w Warszawie, nadsyłał mi lub przynosił swoje utwory, co stanowiło większą część mego podróżnego pakunku. Ile sobie przypominam były te ofiary literackie od pań: Nakwaskiéj Anny, Pauliny Kraków, Józefy Prusieckiéj, Walentyny Trojanowskiéj. Dwóch siostr z Chopenów Jędrzejewiczowéj i Barcińskiéj, Antoniny Jachowiczowéj; panów: Michała Balińskiego, Tymoteusza Lipińskiego, Wacł. Alex. Maciejowskiego, Wład. Wojcickiego, Hipolita Skimborowicza, Leona Potockiego, F. S. Dmóchowskiego, pułkownika Paszkowskiego, Józefa Paszkowskiego, Stanisława Jachowicza i wielu innych osób. A wśród rozmaitych przypisków odezw i wynurzeń, odznaczał się list Eleonory Ziemięckiéj, który to późniéj tyle nabrał rozgłosu, wraz z odpowiedzią na niego pani Hofmanowéj. Chociaż korrespondencja ta, zdaje się iż wtedy całą Polskę obiegła, tyle była na wszystkie strony przepisywaną, nie mogę oprzeć się chęci bym jéj nieprzypomniała dzisiejszym literatkom; tém bardziéj iż ją dosłowną posiadam i niewiem czyli gdzie drukowaną była. Poprzedzam ją, nieznanym listem Eleonory Ziemięckiéj, pisanym do mnie. Sądzę bowiem że każde słowo pierwszéj i dotąd jedynéj na drodze filozoficznych pojęć i badań, polskiéj autorki, należy do ogółu. A dla niéj saméj, list jéj przed 20tu laty pisany, będzie jak mniemam i miłém przypomnieniem i niejakiém *studium* nad wyrazem *nigdy!* któremu to wyrazowi, nawet *burzliwe umysły i śmiałe żądze badań* nie powinny zawierzać!.. Ileż bowiem odtąd pełnych wdzięku pism ulotnych, potocznych a szczególnie treści ludowéj, przekonały: że nasza czcigodna autorka, właśnie filozoficznemi a chrześcijańskiemi badaniami doszła do téj *spokojnéj a jednak głębokiej prostoty*, któréj niegdyś sama w sobie zaprzeczała, jak to zobaczymy w następującym jéj liście:

Trzylatków 10 Czerwca 1842.

„Już od kilku dni wypoczywam na wsi po mojéj ciągłéj pracy, chociaż i tu wypoczynek nie może być zupełny, bo wiele koniecznych robót przywiozłam z sobą dla ukończenia. Pomiędzy innemi, głównie mnie teraz zajmuje *rozbiór dzieł Tańskiéj*, który chciałabym żeby był w Lipcowym poszycie *Pielgrzyma*. Z miłością piszę ten rozbiór bo się kocham prawdziwie w jéj cichym i użytecznym zawodzie. Już ja nigdy do téj spokojnéj a jednak głębokiéj prostoty nie dojdę! i to tylko mnie cieszy że tę prostotę cenić umiem; to jest najwyższy stopień wzniesienia do którego podnieść się może burzliwy mój umysł i śmiała badania żądza! Posyłam list do Klementyny Hofmanowéj, chciéj go sama wręczyć, a swoim wpływem wyrób mi małe miejsce w sercu téj dobréj istoty którą tém więcéj cenię im dalszą jestem od jéj usposobienia w charakterze. Jeszcze raz proszę Panią poleć mnie sercu i przyjaźni Tańskiéj. Ja tak mało znalazłam ludzi, którzyby mnie istotnie znali, iż szczerze pragnęłabym pocieszyć się jéj przyjaźnią.“

Poniżéj przytoczę korrespondencję Eleonory Ziemięckiéj z Klementyną Hofmanową, a teraz przystępuję do mojéj podróży, w celu widzenia się z tą ostatnią. Obładowana autorskiemi dla niéj darami wyż wymienionemi, a od siebie widokami Warszawy, ziemią z dziedzińca XX. Reformatów, w których kościele najserdeczniejsze wspomnienia naszéj nieocenionéj Klementyny i pudełkiem ulubionych jéj karmelków leslowskich, podążałam na to najmilsze mi spotkanie. Zabrałam córkę moję aby miała szczęście odnowić dziecinną znajomość i ucałować rękę, któréj pisma wykształciły ją i całe pokolenie jéj rówienniczek. Każda z nas miała nader przyjemną towarzyszkę podróży, bo jechałyśmy w jednym powozie, z dwoma osobami w tymże co i my celu jadącemi, aby powitać naszą ukochaną Klementynę. Była to, z córką swoją pełną wdzięku i słodyczy Julją [1]) pani baronowa Galichet w któréj matki domu, pani starościny Wyszogrodzkiéj, wychowaną była

[1]) Wyszła późniéj za Morsztina i niestety! zbyt wcześnie powołał ją Bóg do siebie w nagrodę jéj cnót domowych.

nasza ulubiona autorka. Muszę tu przytoczyć opis tego staropolskiego domu, nader obrazowo skreślony przez Klementynę z Tańskich Hofmanową, w jednym z jéj listów do mnie pisywanych:

Paryż 15 Marca 1843.

......„W czwartym roku życia mego wzięła mię pod opiekę swoją pani Aniela ze Świdzińskich Szymanowska, wdowa po staroście Wyszogrodzkim dziedziczka Izdebna, a raczéj wzięła mię starsza jéj córka Dorota (dzisiejsza baronowa Galichet) [1] która choć sama wówczas bardzo młoda, zajęła się mną zupełnie i wnet pokochała jak własne dziecię. Dom pani starościny Wyszogrodzkiéj prawdziwie światłéj, zacnéj i znakomitéj białogłowy był co do prawości i gorliwości w wierze, co do skromności w rozmowach, czystości w obyczajach, co do pracowitości, dobroczynności, gościnności zupełnie domem staropolskim. Jeszcze tam czeladka wprawdzie już tylko żeńska, zbierała się rano i wieczór na wspólną z panią i z jéj córkami modlitwę, jeszcze wszystkie obrzędy, święta, posty, przepisy kościoła surowo strzeżono, jeszcze pani domu choć urodzona z Barbary Krasińskiéj siostry królewiczowéj polskiéj, sama klucz od skarbczyka trzymała, głowy cukru rąbała własną ręką, wódeczki zaprawiała, z kobietami swemi konfitury smażyła i po całych dniach do kościołów szyła. Jeszcze bywały w jéj domu panny na respekcie i po kilka ubogich dziewcząték różnego wieku na wychowaniu; jeszcze w zapusty zajeżdżały kuligi, a przez rok cały w jakibądź dzień, o jakiéjbądź godzinie gość zawitał, zawsze bywał mile przyjęty, a najnudniejszy szczerze zatrzymany" i t. d. i t. d.

Z córką tedy owéj zacnéj matrony, z tą niegdyś panną Dorotą, która zajmowała się dzieciństwem naszéj przyszłéj zasłużonéj autorki, jechałam w Poznańskie do Pudliszek, gdzie na nas oczekiwała nasza wspólna przyjaciołka. Nieznałam osobiście gospodarzy tego zacnego domu, a jednakże podążałam tam z zupełną ufnością w braterskie przyjęcie, jakiego istotnie doznałam. Dziś jeszcze rozpromienia mi się w sercu, na wspomnienie mego powitania ukochanéj Klementyny! Ileż razy oczy nasze zrosiły się łzami to rozrzewnienia, to radości! to z miłych to z bolesnych wspomnień!... Ileż było wzajemnych opowiadań, przerywanych coraz nowemi zapytaniami! Ile zaciąganych zdań, tak z jednéj jak z drugiéj strony. A wieleż razy powtórzyły się owe: czy pamiętasz? czy sobie przypominasz? tak przeważnie panujące wyrazy, po każdém długiém rozłączeniu! Jakież czasy, jakie chwile uobecnił moim oczom, dostrzeżony na palcu Klementyny, pierścionek ofiarowany jéj wraz z pożegnaniem na piśmie, od wszystkich towarzyszek dobroczynności. Szczycę się waszym pierścionkiem (rzekła do mnie) jak rycerz znakiem honorowym, a ja pokazałam jéj książeczkę z niezapominajką i z jéj własnoręcznym napisem jaką obdarzyła mnie i inne koleżanki przy wyjeździe swoim z kraju, abyśmy pamiętały o niéj przy naszych dalszych dobroczynnych zajęciach i zapisywały w tych książeczkach notatki stosujące się do naszych zatrudnień. Ucałowała pierwsze stronnice mojéj książeczki zabazgranéj rozmaitemi notatkami; a ja po sętny raz przycisnęłam jéj rękę de serca mego.

Nastąpiło potém składanie przywiezionych literackich darów i hołdów, o których wyżéj, a na samym ostatku, jako zwykle co najważniejsze, od pani E. Z. list następujący:

Łaskawa Pani!

„Dobroć i szczera otwartość cechująca jéj pisma, są mi rękojmią że panią moja śmiałość w poleceniu się jéj względom i pamięci nieobrazi. Pisma pani i jéj przykład tak silnie wpłynęły na moje życie, iż wspomnienie jéj osoby zjednoczyło się już z moim zawodem, a w sercu pozostała głęboka wdzięczność, nie tylko za osobiste zachęcanie, ale ogólnie za widoczną zmianę, jako starania pani tak w moralnym jak naukowym względzie w wychowaniu kobiet polskich zdziałały. Gdybyś pani mogła widzieć skutki swéj pracy, miałabyś często miły i słodki powód do radości i tylko wrodzona skromność nie dozwoliłaby uznać całéj rozciągłości tego wpływu. Postęp literatury ojczystéj i ustalenie zasad religji

[1] Druga córka Barbara była za hr. Piotrem Łubieńskim.

w rodzinach, są to owoce dzieł i nauk pani Tańskiéj u nas, a kto wie jak położenie dzisiejsze przeciwne jest tym dobroczynnym owocom, ten dostrzeże prawdziwéj opieki Boga nad ziarnem które ręka autorki *Rozrywek* zasiała. Jakkolwiek wszystko co z pod pióra pani wychodzi, ma dla mnie wdzięk i urok nieporównany, *obraz Jana z Czarnolesia* przewyższa w moich oczach wartość wszystkich pani utworów. Jest tam coś tak lubego, poczciwego i zarazem głębokiego prawdą, iż tylko na niwie polskiéj i siłą talentu pani zdziałane być mogło; to téż żadne jeszcze dzieło u nas z równym nie było przyjęte zapałem. Uważając panią, za mój wzór i nauczycielkę od dzieciństwa, nieśmiem posunąć poufałości aż do zazdroszczenia jéj téj słodyczy i tego spokoju jakie znalazłaś w zawodzie autorskim. A jednak nie myśl pani, żeby do tego uczucia które mimowolnie w sercu się odzywa, mieszała się kropla zawiści. Nie, to jest tylko żal głęboki i bolesny zwrot na siebie, że te same głosząc zasady, spotkałam tylko nienawiść i niechęć, a nigdy serce moje, serce kobiece nie sławy ale współczucia pragnące, nie znalazło téj miłéj zachęty i przyjaźni jakich pani w początkach swego zawodu od światłych współczesnych pisarzy doznałaś! Rozrzewniona tą smutną myślą, wspomniałam że chociaż już niema u nas Karpińskich, Brodzińskich i t. p. jest jeszcze miła i szlachetna autorka *Rozrywek*."



Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

W czasie czytania listu tego, wystąpił na jéj miłe oblicze żywy rumieniec; stała chwilkę w tęsknéj zadumie trzymając list w ręku, nakoniec rzekła do nas: pozwólcie iż się oddalę do mego pokoju, bo pragnę téj zajmującéj istocie odpisać pod pierwszém wrażeniem, serdecznością jéj słów, wywołaném.

Niebawnie wróciła do bawialnego pokoju i przeczytała nam głośno, swoją odpowiedź, brzmiącą jak następuje:

„Ujęłaś mnie pani prawdziwie twoim listem i trafiłaś prosto do serca. Nie myślę ja tu wcale o pochwałach, jakkolwiek niegardzę niemi, zwłaszcza z ust takich. Ale nierównie mi było milsze i pochlebniejsze zaufanie z jakiém do mnie piszesz. Jakżebym rada widzieć cię kiedy pani, przestawać z tobą często i blizko, a używając tego prawa jakie nadaje mi wiek starszy, dłuższe doświadczenie, ukołysać, uspokoić twoją piękną duszę, przekonać cię, że twój zawód może być pełniejszy zasług od mego, przez to samo że droga twoja trudniejsza, niebezpieczniejsza, bo wyższa. Tak, bądź pani tego pewna, że jeżeli dla mnie autorstwo było i jest źródłem najsłodszych pociech, nagród i pochwał nad zasługi, to dla tego najwięcéj żem się puściła ścieżką poziomą, że wychowana po dawnemu, zdol-

ności bardzo zwyczajnych, wcale nie uczona, pisałam dla dzieci i młodzieży, rzeczy znane i proste, rzeczy które zdaje mi się każda niemal kobieta byłaby potrafiła napisać, gdyby jéj się było chciało wziąść pióro do ręki. Podobne prace, nie mogły obudzić zazdrości; pospolitemu talentowi każdy pośpieszał z pomocą, z opieką, a sama niewydatność mojéj osoby, przyłożyła się do tego powodzenia. Ty pani pełna jak słyszę wdzięków, powabów, jenjalnego usposobienia, głębokie i rozległe odbywszy nauki, zajaśniałaś nowém zupełnie u nas światłem— przemówiłaś o rzeczach które dotąd nie wielu mężczyzn dotknęło, językiem którego jeszcze mało kto rozumie i chciałaś nie ściągnąć na siebie różnie widzących oczów i myślałeś że ujdziesz pocisków, że będziesz pojętą, ocenioną od razu. Tak być nie mogło, ale niech cię to ani dziwi ani martwi. Płacisz światu cło od niezwyczajnych bogactw twéj duszy, składasz haracz wyższości własnego rozumu. Tak zawsze bywało i będzie i dla tego to powiedziano z dawna o mierności, że szczęśliwa. Dziękuję ci pani tysiącznie za obdarzenie mnie *Pielgrzymem;* zajmie on i skróci nie jedną chwilę wygnania. Wróciwszy bowiem do Paryża czytać go dopiero będę mogła z uwagą jakiéj wymaga i dać o nim jeżeli pozwolisz moje zdanie. Dziś zaś chciéj przyjąć wyrazy serdecznéj życzliwości i szczeréj chęci aby nasze stosunki nie skończyły się z tym listem. Pragnęłabym z duszy zasłużyć sobie na tę przyjaźń którą mi tak miłe ofiarujesz." — Słowa te były tak wiernem odbiciem tych uczuć pełnych prostoty, rzetelnie skromnego o sobie saméj mniemania, chętnego a szczerego oddawania cześci prawdziwéj wyższości, cechujących naszą Klementynę iż powiedzieliśmy jéj, że w tym liście przesyła pani Eleonorze Ziemięckiéj, swój najwierniéj odmalowany wewnętrzny *konterfekt*, co ją bardzo rozśmieszyło.



Eleonora Ziemięcka
według rysunku Orłowskiego rysował na drzewie Tegazzo.

Wielkiém pragnieniem jéj szlachetnego serca było, aby mogła założyć bądź w Paryżu, bądź w Poznańskiém *dom wychowania.* Przed rokiem jeszcze, tak do mnie względem tego pisała: „Ty to zrozumiesz i pojmiesz jakby to mogło sprawić wiele dobrego w obecnéj chwili i na przyszłość, gdyby ten mój marzony *dom wychowania* był rodzajem szkoły guwernantek. Jest przeszło 20 panienek których rodzice polacy, najwięcéj ubolewają nad ubóstwem swojém dla tego, że nie mają sposobu dać dobrego wychowania córkom swoim. W mojém ręku przez lat kilka, możeby przecie uzdatniły się lepiéj do wychowywania polek od sprowadzanych francuzek lub szwajcarek. O własnych siłach temu niewydołam, niéma tedy ratunku jak żeby bogate panie nasze przyjść mogły w pomoc, a raczéj żeby chciały. Czyż kilka takich znaleźć nie można? Ty droga siostro serca mego, ty pojmiesz coby to była dla mnie za rozkosz otoczyć się taką gromadką. Bezdzietna, zostawiłabym kilkanaście użytecznych oby-

watelek żadnéj godziny żadnéj chwili nie marnując, bo mając przy sobie młode istoty, ciągłe jest zajęcie a zawsze użyteczne. Cały dzień czytać lub pisać nie mogę; mąż ma zatrudnienia za domem, są więc chwile kiedy siedzę samotnie nad robotą i smutnie bez użytku dumam. Pragnęłabym koniecznie żeby się mój *Dom wychowania* udał. Z kim tedy możesz, z kim myślisz że mówić można i warto, mów o tém, rozwijaj tę myśl i t. p. i t. d." Dla rozwinięcia i rozważenia tego zamiaru, przybyło do Pudliszek w czasie pobytu tamże Klementyny Hofmanowéj, kilka gorliwych o dobro ogółu osób, ale także nic stanowczego zrobić się nie dało. Opowiadała mi ona z rozrzewnieniem czyn dwojga zaręczonych hr. Jana Z. z panną Anną M., którzy przybyli do Wrocławia i zamiast sprawienia ślubnego szalu dla narzeczonéj, ofiarowali list zastawny na 5 tysięcy jako słaby dowód współczucia dla marzonego *domu wychowania*. O gdybyć takich kilkanaście ślubnych darów, *dom wychowania* Klementyny z Tańskich Hofmanowéj, byłby zakwitnął!

Ciesząc się jéj dobrém zdrowiem i rzeźkością po ciężkiéj operacji jaką w zeszłym roku przebyła, nieśmiałam zapytać o szczegóły téj chwili, tém boleśniejsze, iż wtedy nieznano jeszcze dobroczynnego skutku chloroformu. Lecz ona sama powiedziała mi: „Cała ta przeprawa więcéj miłych niż przykrych zostawiła mi wspomnień; tyle bowiem doznałam pieczołowitości od drogich mi osób, iż mi to stokrotnie wynagrodziło fizyczne cierpienie. Najdotkliwiéj przypomina mi się chwila, gdy czując że za nadto ku ramieniu nóż operatorski się posunął, zawołałam: ach! panie doktorze, nie będę mogła pisać! pisanie bowiem było dla mnie nie tylko miłém powołaniem, ale konieczną potrzebą. Jakoż długi czas nie miałam władzy w téj ręce, podnieść jéj w górę dotąd nie mogę, a kiedy pierwszy raz mogłam wziąść pióro do ręki, postanowiłam złożyć w Częstochowie pamiątkę dziękczynną..." Nie jedni z pobożnych pielgrzymów korząc się u stóp ołtarza naszéj Orędowniczki na Jasnéj-górze, uważali może i dziwili się, co znaczy śród licznych *exwotów*, świadczących o doznanych cudach, srebrne pióro zatemperowane? Oto Klementyna z Tańskich Hofmanowa gdy się z nią w Pudliszkach widziałam, poleciła mi abym kazała za dane mi przez nią pieniądze, odlać ze srebra to godło jéj pracy, z napisem: 18 *Lipca* 1841 *od K. z T. H.* i jako dowód jéj wdzięczności, za zachowaną możność pisania, zawiesić w kaplicy Téj, która od wieków i na wieki jest: *uzdrowieniem chorych, pocieszycielką strapionych, wspomożeniem wiernych.* Gdy za powrotem moim do Warszawy, owe pióro było wykończone w fabryce p. Karola Malcza, nie mogłam w tym roku pojechać do Częstochowy; więc udającemu się tamże Stanisławowi Jachowiczowi, powierzyłam dar naszéj Klementyny. A rada byłam że złoży go na ołtarzu cudownéj Jasno-górskiéj Dziewicy, ręka naszego przyjaciela ludzkości i dzieci.

W kilka lat późniéj będąc w Częstochowie, słyszałam jak kilku osobom zwiedzającym po pierwszy raz to święte miejsce, kleryk wykładał znaczenie znakomitszych exwotów i bardzo dokładnie opowiedział od kogo i z jakiego powodu, srebrne pióro ofiarowane było. Nie mogłam się oprzeć chęci aby się niepochlubić, iż mnie to poleciła Klementyna Hofmanowa, wykonanie tego jéj ślubu. Otrzymałam na tę pamiątkę od tegoż kleryka, kawałeczek płótna ocieranego o cudowny obraz częstochowski. Płótno to, mam dotąd *w książce do nabożeństwa dla Polek, ułożonéj przez autorkę Pamiątki po dobréj matce.*

Odżywiając w pamięci mojéj owe niewysłowionego powabu chwile, spędzone w Pudliszkach z nieporównaną Klementyną, doznaję nad wyraz miléj błogości w sercu. Smutek, żal, boleść, uważam za uczucia zbyt wewnętrzne, by je na jaw wyprowadzać można, zamilczam przeto o naszém pożegnaniu, po którém niestety! nie nastąpiło już nigdy, na tym świecie przywitanie!......

Serce jéj żywo było ujęte pamięcią o niéj osób od których przywiozłam jéj literackie upominki. Gdy odjechawszy z Pudliszek, owych na zawsze mi pamiętnych Pudliszek! przebywałam w Saltzbrunn, odebrałam tamże list od *siostry serca mego*, następującéj treści: „Nie mogąc każdéj z osób

tyle łaskawych odpowiedzieć osobnym listem, przesyłam na ręce twoje choć po kilka słów, z prośbą abyś je każdéj z osobna odczytała, a wymową serdeczną dodała, czego ja wypisać nie umiem.“ Każda z tych osób tyle sobie ceniła własnoręczne wyrazy Klementyny z Tańskich Hofmanowéj, iż nieprzestała na ich odczytaniu, a odcięła słowa do siebie stósowane.

Jeżeli pani Eleonora Ziemięcka słusznie się wyraziła, że Klementyna Hofmanowa od początku swego zawodu literackiego, doznała zachęty i przyjaźni od światłych współczesnych pisarzy; można dodać: że późniejszemi pismami swemi, zdobyła sobie na zawsze serca wszystkich polek. Pisała dla nich z uczuciem siostry i matki, to téż odpłacają się jéj ciągłą miłością i wdzięcznością. Szlachetny to naród, gdzie płeć słabą nazwana, umie z wytrwałością przechowywać w pamięci i sercu, zasługi téj, co tak przeważnie przyczyniła się do zbawiennéj zmiany w jéj wychowaniu; w którymże bowiem zakątku Polski, imię Klementyny z Tańskich Hofmanowéj, nie jest z poszanowaniem, wdzięcznością i miłością powtarzane?

WIEDEŃ NA POCZĄTKU BIEŻĄCEGO STULECIA.

(Dokończenie.)

Nié ma miasta któreby obfitowało tak jak Wiedeń w miejsca publicznych rozrywek, od francuzkich restauracyj i francuzkich *café* błyszczących od palisandrów, brązów i zwierciadeł przy tysiącach świateł gazu, do prostych szynków czyli tak zwanych knajp, gdzie sprzedają trunki a mianowicie piwo, a które są urządzone w Wiedniu z rzadką wytwornością. Nie byłam tam nigdy, ale osoby wiarogodne mówiły mi, że wśród kłębów dymu z fajek i cygar, widzieć można pokoje obite karmazynowym adamaszkiem, zdobne w obrazy w złoconych ramach, zwierciadła, zegary, marmurowe stoły i kąsole i tym podobne zbytkowe sprzęty, na których się rozpierają piwem i tytuniem cuchnący niemcy, w ubraniu tchnącém zupełném zaniedbaniem, w kapeluszach a często tylko w kamzelkach po zrzuceniu zwierzchniego ubrania. Szczęściem że takie knajpy są zwyczajnie w ogródkach gdzie całe towarzystwo w półrocze zimowe siedzi. Wiedeń jak to zdaje mi się już powiedziałam, jest cały w ogrodach, otoczony niemi, szczególnie na przedmieściach każdy dom ma swój ogród. Na *Johanis-gasse* jest miejsce oryginalnością swoją i wszystkiemi szczegółami zasługujące na krótką tu wzmiankę. Nazywa się Elizeum i całością reprezentuje pięć części świata nie fizyczną budową, ale charakterem i obyczajami ludów zamieszkujących każdą z tych kuli naszéj dzielnic. Jest to prawdziwy niemiecki figiel na wielką skalę wymyślony. Wchodzi się za biletami ceny trzydziestu grajcarów od osoby, ni mniej ni więcéj, do rodzaju sklepionéj piwnicy z szerokiemi kamiennemi schodami. Jest to pieczara na podobieństwo niektórych w Wieliczce, lubo bez porównania nie tyle głęboka, cała rzęsisto gazem oświecona i tak jasna, że w każdym najmniejszym zakątku szpilkę by znaleźć można. W jednym oddziale téj pieczary jest niby reprezentowana Azja. Tam sułtan w bogatym azjatyckim stroju, siedzi na kobiercu i poduszkach z kosztownéj perskiéj tkaniny. Głowę ma okoloną bogatym tureckim zawojem którego środek jest z lamy złotéj. Pali fajkę z długiego cybucha, odaliski, to jest dwie urodziwe dziewki ze Szwabji, ubrane w szkarłatne draperje wykonywają narodowy przed nim taniec, trzecia podaje mu w złotém naczyniu sorbet, czwarta kawę, piąta fajkę klęczący podaje, inna jeszcze trzyma w ręku kadzielniczkę, która napełnia powietrze wonią najwyszukańszych zapachów, trochę w oddali stoją niewolnicy czekający rozkazów pana i skinienia palcem. Daléj przechodzi się do Afryki. Tu się zupełnie scena zmienia. Na pierwszym planie stoi kuglarz (escamoteur), zarzyna gołębie które potém zjada zakrwawione; następnie sypie proszek niby eme-

tyk w kubek, w wodzie rozpuszcza i zażywa. Przychodzą nudności, kuglarz robi różne grymasy, kontorsje, jakby czuł w sobie usposobienie do wymiotów, krztusi się, krząka, w końcu z ust jego wylatuje prześliczny żywy gołąbek, ten sam którego tak nielitościwie w oczach widza nożem zarznął.... dalej, dalej szeroki step pokryty spieczonym piaskiem i nic, próżnia zupełna. Tu murzyni usługują publiczności, która co tchu ucieka z téj pustyni, aby wsiąść na statek parowy urządzony na wydrążonym w tém miejscu kanale i jedzie gdzie?... do Ameryki, to jest okrąża całą podziemną przestrzeń i wysiada do przecudnego lasku. Tam prześliczne rozłożyste drzewa nowego świata, a na nich skaczą prawdziwe małpy, dalej znowu doskonale naśladowane węże grzechotniki, boa, lwy, pantery, dalej szumiąca kaskada, mająca wielką ochotę przypominać Niagarę brylantowemi wodami wita przychodnia, czerwoni ludzie w stósownych strojach usługują publiczności. Kolej żelazna ciągniona przez konia zawozi ją do miejsca gdzie znów siada na parowiec i jedzie do Australji, tam witają go różne ptaki rzadkie, olbrzymie orły przelatają, białe jak śnieg rośliny miejscowe wiją się po wysokich sklepieniach. Żółci ludzie usługują publiczności. To wszystko nie jest zawsze zgodne z miejscowością, n. p. w Europie kobiety w hiszpańskich strojach tańcują kontredansa hiszpańskiego, tyrolki taniec huzarski, a jakieś niezgrabne harfiarki najniegodziwiéj kaleczyły jakąś włoską arję. Wszystko to niekonieczne loicznie obmyślane i dokonane, ale tak niemców zajmuje, że jak mówią przedsiębierca ogromne na tém już zebrał summy.

Nie można sobie wystawić ilości sklepów, magazynów, fabryk, zakładów, które nie tylko dół ale wszystkie piętra domów miasta zajmują. Ruch w mieście wielki, ulice główne przepełnione są tak, że trudno przejść przez tłumy snujące się po placach i ulicach; wszystko to jednak odbywa się z wszelką przyzwoitością i policja w Wiedniu nie ma wiele do czynienia, gdyż jest nader grzeczna i ucywilizowana. Mimo że niemcy nie są z natury wielkiemi *galantami*, przecież kobiety w Wiedniu znajdują w razie potrzeby pomoc i opiekę, wtenczas nawet gdy jéj nie pragną. W razie deszczu n. p. jeżeli się idzie piechotą (fjakry bowiem w téj krytycznéj chwili są równie trudne do znalezienia jak w Warszawie) roje parasolów wznoszą się nad głowami dam potrzebujących pomocy, bezwzględnie czy młode lub nie, piękne lub brzydkie. Tragarze do przenoszenia rzeczy których w Wiedniu jest antrepryza tak są poczciwi, że im się nawet pieniądze, klejnoty powierza bez żadnéj obawy. Ktoś n. p. ma się przenosić z jednego mieszkania na drugie. Woła takiego antreprenera, pokazuje mu umeblowany apartament, oddaje klucze od niego, a wraz z ludźmi swojemi dla uniknienia stuku, huku, hałasu, kurzu, śmieci i wszelkiego rodzaju subiekcji wynosi się do przyjaciół, lub wyjeżdża na wieś, lub w ostatnim razie osiada w hotelu; we dwa dni przychodzi do nowego mieszkania i jak cudem znajduje wszystko na swojém miejscu; sprzęty, graty, kredens, kuchenne naczynia niczego, nawet szpilki nie brakuje. Zwierciadła, obrazy, firanki, draperje pozawieszane, dywany pozakładane, posadzki pomyte i pofroterowane, okna i sprzęty połyskujące od czystości. Nie raz dziwią się rodacy nasi jak można za granicą być dobrze usłużonym jedną służącą i lokajem albo jedną tylko służącą i jak ta służąca zdoła ugotować, froterować, uszyć, uprać, panią ubrać i sama bardzo elegancko chodzić. Na to łatwa odpowiedź że społeczeństwo jest daleko lepiéj urządzone jak u nas, bo każdy ma swój fach i jego tylko pilnuje. U nas służąca nim się z łóżka podniesie już jakiś czas upłynie, idzie do miasta i jarzyny surowe przynosi. W Wiedniu i wielu miastach zagranicznych wszelkie owoce i jarzyny sprzedają się już obrane i urządzone tak, że sama pani bez zawalania się może je ugotować i stąd możliwość czystości, bo ileż to odłamki i ostróżyny z jarzyn nieczystości robią w kuchniach naszych! Nadto jarzyny tak sprzedawane oszczędzają rąk wiele, które tymczasem gdzie indziéj użyteczniéj zajęte być mogą. Mieszkania są tak wygodnie urządzone, że nie potrzeba ani wnosić ani przynosić wody, gdyż śmiecie i wszelkie nieczystości wylewają zaraz

w kuchni przez otwór który ma z dolnemi piętrami i rynsztokami komunikację; w témże samém miejscu woda rurami wchodzi do mieszkań i jednako służyć może do prania, gotowania i wszelkiego rodzaju gospodarskiego użytku.

Dla uzupełnienia charakterystyki Wiednia muszę tu powiedzieć słowo o cmentarzach. Są one jak wszędzie w Niemczech wzorowo utrzymane jakby najpiękniejsze ogrody. Sentymentalność niemiecka przecież się tam przebija, najczulsze napisy są kochanków, na nie jedynie niemcy się silą. Każde przedmieście ma swój cmentarz przy których są kaplice dla umarłych. Jest bowiem w Wiedniu zwyczaj, że umarli w kościołach w mieście ani w przyległych im kaplicach nie stoją, tylko wywożą ich po prostu w zamkniętych karetach podobnych do furgonów i nie mających żadnych powierzchownych żałoby oznak na cmentarz, gdzie stoją w kaplicy czekając dnia pogrzebu. Ten zwyczaj być może bardzo wygodny dla tych, których widok smutnego śmierci orszaku przestrasza, zasmuca lub trwoży; dla żalu i smutku jest tém przykrzejszy, że pozbawia pociechy taką ulgę u nas przynoszącéj, oddania hołdu drogiéj sercu osobie. Kto chce być na pogrzebie to jest oddać ostatnią usługę, powinien udać się do kaplicy od któréj odbywa się pochód do grobu.

Obejrzawszy miasto robiliśmy wycieczki po jego okolicach. O mil dwie od Wiednia jest jedna z rezydencji cesarskich Laxenburg. Zamek jest otoczony dość dziką i mało sztuką podniesioną naturą, a tak wszystko w nim urządzone sztucznie, że zdaje się, że wszystko tu natura robiła. Do zamku który stoi na wzniesieniu przewozi się batem. Wewnątrz pokazują salę napełnioną statuami wszystkich monarchów austrjackich w stroju rycerskim z wosku wyrabianemi. Przed zamkiem jest więzienie gdzie dawniéj trzymali więźniów o wielkie obwinionych zbrodnie i sala sądowa w któréj ich inkwirowano i wyrok na nich wydawano. W jednéj stronie sali są z drzewa naśladowani niby więźniowie, a pod ich nogami otwór. Jeżeli w czasie inkwizycji nie dość jasno na zapytania odpowiadali, na znak sędziego drzwiczki do otworu uchylały się, nieszczęśliwy spuszczany na łańcuszkach wpadał po pas pod ziemię i nielitościwie był smagany przez ukrytych pod ziemią oprawców. Proszę sobie wystawić męki delikwenta za pierwszém cięciem, bo tu imaginacja naturalnie wielką grała rolę. Delikwent, sędzia, łańcuchy, wszystko to z drzewa doskonale naśladowane!.. Och! jakże się tu nieszczęśliwie średnie wieki przedstawiają. W Laxenburgu chowają krowy z najpiękniejszych gatunków, fabrykują masło i sery na dworski użytek. Cesarstwo często w czasie lata przyjeżdżają tam i bawią się *au fermier et à la fermière*, obecni są gdy krowy doją; jest *chalet* czyli chata szwajcarska niby folwark gdzie jest w całym komplecie gospodarstwo pieścidełko i wszystkie sprzęty nieodzowne do niego z drzewa mahoniowego, w utrzymaniu tego folwarku nié ma żadnéj wymuszoności, trawa wszędzie rośnie, idzie się pomiędzy wysoką trawą wśród któréj rośnie dziko dębina, sośnina, daléj stajnie i krowiarnie przypominające bardzo nasze wiejskie sioła i urządzeniem tylko odróżniające się od nich. Jadąc na powrót z Laxenburga zboczyliśmy do prześlicznéj doliny położonéj pomiędzy górami i zalecającéj się prześlicznemi widokami. Jest tam pod gołém niebem teatr cesarski. Ale nadeszła chwila wyjazdu do prawdziwego celu naszéj podróży, do Baden, gdzieśmy niebawem udali się na całe lato. Obejrzawszy w Wiedniu celniejsze jego osobliwości, niecierpliwie oczekiwałam wyjazdu gdyż ciągłe jeżdżenie i bieganie po mieście i jego okolicach, oglądanie różnych szczegółów nie zawsze dla młodych zajmujących, jak n. p. gabinet medalów, bibljoteka, gdzie nie umiałam jeszcze cenić znajdujących się skarbów, mocno zaczynały mnie nudzić. Wielka była radość moja, kiedy Florjan nasz stangret, zaprzągł do landary przychudzone trochę ciągłém jeżdżeniem nasze gniadosze. Na drodze do Baden spotkaliśmy ruch wielki jakby na ulicach miasta, gdyż w lecie prawie wszystkie zamożne rodziny których doktorzy nie wysłali do wód czeskich, tu kuracją odbywały, lub téż tylko dla świeżego powietrza i wytchnięcia przebywały. Przesuwały się przed naszemi oczami py-

szne złocone panów austrjackich ekwipaże, co mnie daleko więcéj bawiło niż medale z czasów Karola W. Cieszyło mnie więcéj jeszcze gdy stangret nasz który nigdy niepozwolił się wyminąć, nie raz o mało nie przewrócił karety bieżąc gwałtownie, gdy który z wyperukowanych i wypudrowanych niemców śmiał go wyprzedzić. Póty konie zacinał, klął na czém świat stoi, „poczekaj szwabie!“ półgłosem wołał, dopóki znów niegrzecznego rywala nie wyprzedził. Trzeba było widzieć wtenczas jego uśmiech pełen szyderstwa i tryumfu gdy go daleko zostawił, a jego upokorzenie, smutek i ukryty gniew gdy biedne znużone konie znów powtórnie wyprzedzić się dały. Ta rywalizacja zrobiła, że w mniéj jak w półtory godziny stanęliśmy w Baden. Same miasto leży w równinie otoczonéj górami, w cudnie pięknéj okolicy. Zaleca się wodami termalnemi, szczególnie skutecznemi na wszelkie cierpienia reumatyczne. Byłam tam pierwszy raz przez dwa miesiące w r. 1817 a późniéj w 28 lat późniéj w r. 1845, ale tylko na dwa dni dla obejrzenia i tu naturalnie widziałam postęp oznaczający w tak olbrzymich rozmiarach charakterystykę naszego stulecia. Baden był wówczas czém był Busk w pierwszych piętnastu latach swojego istnienia i czém jest jeszcze dotąd w niektórych warunkach swojego życia. Przyjechawszy, wysiedliśmy do prywatnego domu, w którym dół już od tygodnia był dla nas najętym. Przy tym domu był ogródek należący do hrabiny de Colloredo, o któréj wyżéj w tych pamiętnikach mówiłam i z którą się niezwłocznie zapoznali moi rodzice. Wtenczas tryb kuracji był taki: Wstawało się o piątéj rano i szło do łazienki. Był to pokój w którym miasto podłogi była olbrzymia wanna cynkiem wykładana, albo raczéj pokoik do którego schodziło się kilkoma schodami, wpuszczano tam jak zwykle stósownie do potrzeby ciepłą i zimną wodę, zapach siarki przypominał zapach buskiéj wody, tylko nierównie był mocniejszy. Gdy się godzinę zostawało w téj kąpieli szło się do parku, tam chodziło do godziny 9téj po któréj była kawa. W r. 1817 piliśmy własną kawę jak też i jadali własny obiad, gdyż lubo już były *table d'hôte* i kawiarnie dla gości, nie wielkie co do dobroci kawy i potraw wzniecały zaufanie, a my polacy pozostawaliśmy jeszcze w przesądach tyle, wszelkim podobnym zakładom przeciwnych. *Polskim* więc a jak w r. 1817 dość powszechnym zwyczajem, powracaliśmy do domu na kawę i doskonałe olbrzymie maślane rogale które tylko w Baden jadłam, a których smaku, białości, pulchności, świeżości, nigdzie w tym stopniu nie tylko w kraju, ale w żadném niemieckiém mieście nie widziałam. Ku wieczorowi znów spacer. Najwięcéj uczęszczana była góra *Helena*, pocięta w różne kondygnacje ku wygodzie spacerujących i pokryta prześliczną zielonością. Na niéj pokazują ruiny trzech zamków których odarte, wysoko sterczące wieże, jakby dumne swoją dawnością i podaniami poważnie na siebie spoglądają. Opowiadają miejscowi następującą o tém miejscu legendę. Kiedyś, kiedyś, w bardzo odległych wiekach było trzech braci którzy w każdym z tych dworów z żonami, synami, dworem, rycerstwem i wazalami zamieszkali, a byli bitni i potężni. Póki żył ojciec, młode latorośle silnie z nim związane jedne tylko myśli i uczucia miały. Ale przyszła na niego ostatnia godzina; zwołuje synów, którzy płacząc otaczają łoże umierającego starca. Pobożny kapłan, miejscowy kapelan w skromnéj komeżce podaje mu Najświętszy Sakrament, daléj ludzie klęczący w oddali gorąco się modlą za ulatującą do Nieba duszą Pana i dobroczyńcy swojego. Gdy już święty obrzęd ukończony został stary rycerz jakby orzeźwiony obecnością Pana, którego w gospodę swoję przyjął, tak do synów przemówił: „Jesteście młodzi, długi lat szereg jest przed wami, zostawiam wam moje zamki, niech każdy z was osiedli się w jednym z nich. Jam silnie odpierał napady sąsiadów, wy téj siły mieć nie będziecie jeżeli jéj szukać nie zechcecie w tém co ją daje, w miłości i zgodzie. Póki będziecie się kochać, póty równie silni będziecie jak jam był silny, biada wam i zamkom waszym jeżeli pochodnia niezgody zawita do was. Duch mój czuwać będzie nad wami pamiętajcie nie przerywać mu snu spokojnego, abyście go zbrodnią nie powołali nazad na tę ziemię łez, z krain wiekuistéj wesołości.“ Na te słowa dreszcz przeraże-

nia i trwogi przeszedł po żyłach wszystkich obecnych, po łkaniach żalu nastąpiło głębokie, grobowe milczenie przerywane ciężkim oddechem. Ten oddech coraz słabł, wreście cień biało-niebieskawy powlekł oblicze umierającego, okropna nastała cisza, duch sędziwego ojca uleciał w niebiańskie krainy..... Rozpacz synów była wielką, na trumnie ojca poprzysięgli sobie wieczną miłość i obronę przeciw wspólnym nieprzyjaciołom!..... Każdy z trzech braci zamieszkał przeznaczony dla siebie zamek i silnie się w nim obwarował, nie z bojaźni zdrady przez którego z braci, ale od napadów sąsiadów. Stanął między niemi układ że w razie napadu jednego brata, dwaj drudzy przyjdą napadniętemu w pomoc, a dla tém łatwiejszéj wzajemnéj kommunikacji powystawiali wieże wśrodku zamków swoich związane żelaznemi łańcuchami, których końce utrzymywane na słupach ciągnęły się od jednéj wieży do drugiéj. W razie ataku, dostatecznie było pociągnąć łańcuchem na sygnał i zaraz załoga dwóch zamków na obronę dążyła. Tak upłynęło lat dziesięć i trzéj bracia zawsze według przykazania ojca w zgodzie będąc, rośli w chwałę, wielkość, byli postrachem wszystkich sąsiadów na około, którzy lękając się ich potęgi nie śmieli ich zaczepić, ale w cichości skażonego serca zazdrościli. O mile stamtąd mieszkała wdowa ledwie dwadzieścia wiosen życia mająca któréj mąż udawszy się do ziemi świętéj, jak wielu bohaterów krucjat, zginął w świetnéj z półksiężycem walce, pozostawiwszy żonę swą prześliczną Idę, z wiernym tylko psem brytanem dla obrony i jednym odźwiernym. Ida w nieobecności męża nikogo nie widziała, po jego śmierci, zawiesiła długą czarną zasłonę na znak wiecznéj żałoby poświęcając się leczeniu chorych, staraniu koło sierot i nieszczęśliwych, ku wieczororowi tylko wychodziła w lasy czasami na przechadzkę, w towarzystwie psa ogromnego brytana, wiernego pani swojéj stróża. Fernand, najmłodszy z trzech braci przypadkiem spotkał piękną Idę przechadzającą się z matką i wiernym psem po lasku; obie na widok rycerza zbliżającego się ku nim, spuściły zasłony i spiesznie ku zamkowi wracały, ale Fernand zdjęty ciekawością, zachwycony lekką, zgrabną postacią, która jak senne marzenie przeszła koło oczu jego, trącił rumaka ostrogą, pobiegł za niemi, a zbliżywszy się zsiadł z konia i udając że zgubił drogę prosił o wskazanie mu takowéj. Wierny pies nie nawykły widzieć obcych dość zuchwałych aby zwracać mowę do pań jego, w téj chwili rzuca się na Fernanda i sążnistą paszczą za rękę chwyta, ale rycerz porywa psa za paszczę i silną zręczną i zwinną ręką odsuwa go od siebie, pytając się znów o drogę. Pies poznawszy bohatéra nie śmiał się już do niego zbliżyć, krew sączyła się z ręki Fernanda, a on zawsze uśmiechając się mimo dolegliwego bólu pytał o drogę. Na widok krwi Ida nie mogła się wstrzymać od gwałtownego wzruszenia, obie z matką dobywają różnych ziół które zawsze przy sobie nosiły, obwijają rękę, ale nie wiedzą, że inna rana daleko niebezpieczniejsza zraniła rycerza. Duże, piękne, niebieskie oczy kobiety, ugodziły w jego serce. Podziękował im za staranie, ukłon pełen uszanowania oddał, wsiadł na konia i wrócił do swojego zamku, ale obraz uroczéj pani wszędzie go ścigał, nie miał chwili spokoju ani we dnie ani w nocy. Powierza przeciwnościami rosnące uczucie braciom swoim.... z tego opisu w sercu jednego brata powstaje jakieś niewytłomaczone uczucie zazdrości połączone z ciekawością i kiedy biedny Fernand nie śmie przystąpić do zamku z bojaźni sprowadzenia gniewu pani swojéj myśli, starszy brat jego przebrany za pielgrzyma niby do ziemi świętéj idącego, ukazuje się u bram zamku i powiada zmyślone nazwisko. Jako pielgrzym przyjęty, nakarmiony, a szlachetne panie zamku nie pokazują się. Pełen gniewu i wstydu że mu się plany nie udały udaje się do środka który jak się zdaje w średnich wiekach jak dziś jest niechybny. Przekupuje odźwiernego zamkowego który go wprowadza potajemnie do sypialni pań swoich. Wieczór idąc na spoczynek widzi Ida ukrytego za firanką mężczyznę. Ten rzuca jéj się do nóg, wyznaje winę. Oczy Idy iskry rzucają; wymawia mu jego śmiałość i wyjść rozkazuje! „Usłucham cię pani ale twoja sława cierpieć będzie gdyż mnie tu widziano, na to nie widzę innéj rady tylko dar

twojéj ręki...“ Ida zadrżała, obraz Fernanda który ją od czasu widzenia w lesie nieustannie ścigał, stanął jéj w myśli...... W rysach jego brata widziała podobieństwo, ale go za tamtego wziąść nie mogła gdyż się różnili kolorem włosów... „Kto jesteś? nie jesteś podróżnym?... jesteś bratem Fernanda?..“ tu rumieniec wstydu pokrył prześliczne oblicze młodéj rycerza krzyżowca wdowy. Uzbroiwszy się w odwagę „żoną twoją nie będę“ rzekła. — „Musisz dla sławy.“ Tu Ida głowę na piersi spuściła i nieśmiało prosiła go o trzy dni namysłu. Rycerz wyszedł, w swoim pielgrzymskim stroju wrócił do zamku. Fernand instynktem zazdrości wiedziony domyślał się czegoś... poszedł w jego ślady a domyśliwszy się zdrady, gdy widział go wracającego, pełen gniewu i zapalczywości wyzwał brata do walki. Ten wraca z pośpiechem do komnaty bierze na sznurze zawieszony miecz po ojcu i bieży w pole. Mierzą się, wre między niemi walka zapamiętała, w końcu Fernand stanowczy cios zadaje i trupem u nóg brata kładzie i krwią jego zbroczony pełen gniewu i wyrzutów do zamku swojego wraca. Giermek jego obecny temu bieży do zamku, pociąga łańcuch, trzeci brat pewny nowego napadu spieszy na czele zbrojnych ludzi..... Jakiż widok okropny przeszywa mu serce!... jeden z braci trupem leży, drugi krwią jego zbroczony, oczy na wierzchu, włosy rozczochrane, jęki i słowa jakieś niezrozumiałe wydaje!.... Pełen żalu, rzuca się na Fernanda i zabija go, a potém siebie... Sąsiedzi napadli na zamki a znajdując je bez obrony palą i niszczą, gołe tylko zostawując baszty. Piękna Ida niepocieszona wstępuje do klasztoru. W tych zwaliskach gdzie dawniéj słychać było szczęk oręża, wrzawę, cichość grobowa!... okoliczni mieszkańcy widują tylko czasami trzy cienie jakby cienie trzech rycerzy krążące koło wielkiéj baszty jednego z zamków; te za zbliżeniem nikną. Smutna to bardzo legenda, jak wszystkie nadreńskie i naddunajskie. Piękna jest postać Idy wiernéj swojéj sławie i cieniom męża. Wieczorem za powrotem do domu śniła mi się noc całą, widziałam ją w habicie zakonnym i żal mi jéj było bardzo. Gdy późniéj w roku 1845 drugi raz na krótki bardzo czas zwiedzałam Baden, poszliśmy na Helenę, ale śladu prawie już wieży nie było!... tę samą opowiadano legendę ale już trochę odmiennie. Także w samym Baden wielką znalazłam zmianę. Mnóstwo potworzyło się nowych nieznanych spacerów dla których biedną opuszczono Helenę. Źródeł i kąpieli mnóstwo. Kąpiele ogólne dla mężczyzn i kobiet. Jest ogólna wanna w któréj mieści się osób 150 do 200stu. Mężczyźni mają rodzaje płócienkowych bążurek w których u spodu wszyty jest ołów, kobiety mają takież szlafroczki. W wodzie są na około przy ścianach ławki z poręczami, u góry miejsce dla orkiestry, we środku wanny przechadzają się jak po ogrodzie, rozmawiają, śmieją się. Na około Baden są góry, jedna nazywa się Brül-Berg i Schwarcen-Berg, tam damy kąpiące się, jeżdżą na mułach na kozie lub krowje mleko. Stamtąd widok najpiękniejszy na kilkanaście mil na około, a powietrze tak zdrowiu sprzyjające szczególnie dla przyjezdnych, że ono samo uzdrawia. Słynne są sprawiedliwie okolice Baden. Jak to już wyżéj powiedziałam najwięcéj uczęszczanym w owym czasie spacerem był rano obszerny park gdzie wszyscy po ciepłych kąpielach i niemieckiéj kawie świeżém napawali się powietrzem, a wieczorem góra Helena któréj pocięte w różne kierunki kondygnacje mimo wysokości położenia, spaceru wcale męczącym nie czyniły. Tu się zwykle schodziło grono kąpiącego towarzystwa, co zastępowało mniéj znane wówczas salony. Dwór przebywał w owym czasie w Pradze w Czechach, w Baden zaś bawiło trzech arcyksiążąt braci cesarskich, nie pamiętam już których. Ci książęta z całą niemiecką systematycznością brali kurację i pokazywali się publiczności regularnie dwa razy na dzień, rano w parku po skończonych kąpielach i wieczorem na Helenie. Ich postawa i etykieta wielce mnie zajmowały i bawiły. Wszyscy trzéj w prostéj linji i doskonałym frontem jak żołnierze przechadzali się poważnie i jednakim krokiem, za niemi w téjże saméj linji trzech szambelanów tylko o trzy kroki daléj, za temi znów w tymże oddaleniu trzech lokai dworskich co wszystko razem tworzyło najdoskonalszy kwadrat. Ubiór tak książąt jak szambela-

nów był cywilny bez żadnych osób i orderów, lokaje nosili harcaby i zwykłą liberję domu austrjackiego. Etykietą w Baden było, wcale się arcy-książętom nie kłaniać a to w celu oszczędzenia im subiekcji ustawicznych odkłonów. Jak już mniéj więcéj z niektórych okoliczności mógł się czytelnik przekonać, byłam dziewięcioletnią dziewczynką żywą i gadatliwą. Widok książęcego kwadratu bawił mnie niezmiernie, mimo napomnień, nie mogłam na jego widok wstrzymać się od wykrzyknika: *tiens, voilà encore le carré archi-ducal*, co książęta słysząc mimo całéj powagi Habsburgom właściwéj, śmiać się musieli i tak skończyło się na dobréj znajomości. Gdy mnie tylko biegnącą zobaczyli uchylali kapelusze mówiąc z grzecznym uśmiechem: *bon jour mademoiselle*. Ten pierwszy mój pobyt w Wiedniu bardzo ułatwiała i uprzyjemniała zażyłość ojca mojego z radcą tajnym i podkomorzym dworu austrjackiego Lanckorońskim, żyjącym jeszcze w owym czasie. Osobliwszy to był człowiek nie tak z osoby jak ze stanowiska jakie zajmował. Długi w Wiedniu pobyt tak dalece Lanckorońskiego wynarodowił, że wszystko u niego stało się niemieckie, dom, zwyczaje, wyobrażenia, obejście, etykieta, kuchnia, ludzie, służący; cudem jakimś serce polskiém pozostało. Kochał kraj swój jak kochać można z daleka, rad czasami go odwiedzał choć na krótko, ale żył jedynie dla ziomków swoich czasowo w Wiedniu przebywających, szczególnie dla tych którzy pierwszy raz stolicę Austrji zwiedzali, a takich wiele było w owym czasie, kiedy sposób podróżowania czynił wszelkie po ojczyźnie wycieczki nader trudzące i kosztowne. Lanckoroński był prawdziwą opatrznością ziomków swoich w Wiedniu już to przez swoje stanowisko u dworu, już téż przez swoje stosunki i wpływy które mu długi tam pobyt nastręczał. Dom jego, osoba, kareta, były na usługi ziomków. Bywał on u nas w Baden codziennie wyjąwszy dnie recepcji i obiadów u siebie, na których rodzice moi dwa razy na tydzień bywali, a czasami wbrew wszelkiéj etykiecie nas z sobą brali. Kuchnia jego ściśle niemiecka nie zalecała się elegancją i wykwintnością francuzkich kucharzy, przypominam sobie jedną potrawę, która mnie, swoją nadzwyczajnością mocno zdziwiła; składała się z samych kogucich grzebieni, celowała więcéj osobliwością niż smakiem, mimo rozlicznych w niéj gorzkich i słodkich przypraw. Ze wszystkiego najwięcéj mnie wszakże uderzała postać gospodarza utykającego na nogę którą złamał na jakiś czas przed naszém do Baden przybyciem, bawił mię także złoty baranek wiszący u jego szyi na łańcuchu. Był to znak orderu złotego runa którym on jeden z polaków był wówczas ozdobiony. W roku 1818 pan Lanckoroński odwiedzał Kraków i chciał aby jeden z jego synów edukację kończył w tym starym ojców naszych grodzie, jakoż powierzył młodszego z nich Kazimierza Józefowi Sołtykowiczowi, już nie jako ucznia, ale jako młodzieńca którego pierwsze kroki w świat, odbywać się miały pod dozorem uczonego i czci godnego męża. Lanckoroński miał dwa obszerne klucze w Krakowskiém, w powiatach Szydłowskim i Jędrzejowskim, zalecające się wzorowém gospodarstwem i urządzeniem, co przed trzydziestu laty było u nas większą jeszcze osobliwością niż dzisiaj, a głównie dobrym bytem włościan.

O teatrze w Baden nie wiele powiem bom bardzo rzadko w nim bywała. Sztuki odgrywane w Wiedniu w małych teatrach nie są w ogóle tak dawniéj jak i teraz w rodzaju tych, coby można dzieciom pokazywać, a wielkie dzieła dramatyczne niemców, które jak wiemy, stanowiły przedświt zupełnéj w literaturze dramatycznéj zmiany, na nich grywane nie były. Uważałam tylko że ulepszenia tak w scenie jak w lożach u nas dopiero od niewielu lat przyjęte, już tam w r. 1817 upowszechnione były. Wielki żyrandol z lamp podnoszący się i spuszczający według potrzeby, dawał obfite światło rozchodzące się po całéj sali, loże były zupełnie odkryte tak że wyjąwszy nizkich dla odznaczenia tuż przedziałów, widze mogli się wzajemnie widzieć, parter znacznie w górę wznoszący się, od sceny do głównych drzwi wchodowych był wygodnemi i miękiemi ławkami cały opatrzony, tak że każdy za swój droższy czy tańszy bilet wygodnie mógł przypatrywać się widowisku.

My dzieci wielką miałyśmy przyjemność w Baden z powodu sąsiedztwa o którém tu już wspominałam pani de Colloredo, jéj dwóch córek i pani Issards ich guwernantki. We dwa dni po przyjeździe naszym do Baden rodzice moi oddali wizytę pani de Colloredo, my zaś przez jakiś czas widywaliśmy tylko te panie z daleka w ogrodzie. Często bardzo gdy moi rodzice udawali się na jakąś dalszą pieszą przechadzkę my zostawaliśmy w domu i bawiliśmy się w ogródku przyległym do ogrodu pani de C. przedzielonym od niego nizkim żywym płotem z róż białych, których świeży zapach rozchodził się po obu ogrodach. Zaraz za płotem był mały pawilonik cały pnącemi się żywemi krzewami zakryty, tam stał fortepjan, arfa, były skrzypce i basetla, bo dwa razy w tydzień odbywały się kwartety muzyczne, była tam również podręczna biblioteczka, gdyż panienki z panią des Issards, a bardzo często z matką czytywały głośno po obiedzie francuzkich klasycznych poetów. Ja od dzieciństwa mojego przepadałam za czytaniem, od szóstego roku życia oderwać mnie od niego nie można było, muzyka także wielkie na mnie czyniła wrażenie. Siadywałam więc za pawilonem po drugiéj stronie płotu, na małéj ławeczce i przysłuchiwałam się muzyce i czytaniu. Dnia jednego pani des Issards (gdyż kolejno czytywały) czytała pierwszy akt trajedji Kornela *le Cid*. Miała nieporównaną rzewność i prostotę w czytaniu, głos jéj zawsze wielkie na mnie robił wrażenie. W chwili gdy Ximena wpada na scenę przerażona widzeniem broczącego we krwi ciała ojca, głos jéj nabrał tyle uczucia, a scena sama przez się tak była okropna i przerażająca że się na dobre rozpłakałam. Czytająca słysząc płacz z daleka przerwała czytanie, wszystkie panie wybiegły z pawilonu w myśli że ktoś potrzebuje ratunku, jakież było ich zadziwienie gdy mnie ujrzały płaczącą i nie mogącą się utulić, „*Qu'a donc cette enfant?*....“ zapytała pani de Colloredo. Wszyscy zbliżyli się do mnie, a nie znając mnie zapytali po niemiecku kto jestem i czego płaczę? Długo słowa przemówić nie mogłam, już to z poruszenia, już ze wstydu że mnie na podsłuchiwaniu znaleźli. W téj chwili weszli moi rodzice którym wyznać musiałam powód płaczu. Od téj chwili pani de Colloredo a szczególnie jéj córki wymogły na mojéj matce że mi będzie wolno do nich przychodzić i tak mnie polubiły że mnie już puścić od siebie nie chciały, wynosząc pod niebiosa moją czułość i zamiłowanie w czytaniu. Matka bojąc się aby te pochwały zbytnie, próżności nie podsycały, wyśmiewała mnie z łez nad nieszczęściem Ximeny, mówiąc że się rozczulam jak garderobiany kiedy czytają romans Rinaldo-Rinaldini. To przedrzeźnianie uczyniło mnie bardziéj skrytą w moich łzach, które w każdéj podobnéj okoliczności starałam się pokryć. Pani de Colloredo należała do szlachty najzamożniejszéj i najbogatszéj w Czechach. Żyła co się nazywa z przepychem. Jéj dom, urządzenie wewnętrzne było na olbrzymią skalę, dwóch kamerdynerów jeden dla niéj, drugi dla córek, kilkunastu lokai *(valets de pied)*, strzelców, masztalerzy, kucharzy, *maitre d'hotel*, *chef de cuisine*, dwadzieścia koni powozowych, trzech wierzchowców na stajni, panien służebnych co nie miara, zupełnie dom utrzymany na stopę wielkich panów polskich jak to widywaliśmy w Puławach, w Willanowie i t. p. z tą różnicą że pani de C. aczkolwiek miała swoję posiadłość w Baden, przez jesień w zamku swoim w Czechach przemieszkiwała. W Wiedniu tylko bawiła kiedy stopień jéj męża i stosunki u dworu z obowiązku i konieczności jéj ten przymus nakazywały. Oddana jedynie wychowaniu dzieci (cnota tak niezwyczajna wtedy w jéj położeniu) uwalniała się o ile to jéj położenie pozwoliło od trudnych obowiązków świata. W Baden była tylko sama z córkami i panią des Issards która stała się jéj przyjaciołką najmilszą i ukochaną. Wszystko co ją otaczało objawiało jéj zamożność, ona tylko była pełna prostoty i dobroci. Układ dnia czy w domu czy w Baden, czy za granicą był zawsze jednaki. Te panie wstawały o godzinie 7méj, o 8méj Msza ś. gdyż miały kaplicę przenośną i pozwolenie od Ojca Ś. papieża Piusa VII odprawiania Mszy Ś. wszędzie gdzie tylko będą bez poprzedniego upoważnienia od miejscowéj władzy kościelnéj. Ksiądz Dupré francuz emigrant, staruszek niepospolitéj nauki i wielkiéj świętobliwości był ich kapelanem i wszędzie z niemi jeździł. Po

Mszy ś. następowało wyszukiwanie ubogich, które trwało do godziny 10téj, po tém zasiadano do siadania. To wyszukiwanie lub uczęszczanie często aż na piąte i szóste piętro, służyło paniom de C. za spacer i nader potrzebną przy ich siedzącém życiu agitacją, dawało téż nader szlachetny cel ich przechadzkom. Pani de C. jakkolwiek należała do wszystkich pobożnych i dobroczynnnych instytucji w Pradze a nawet w Wiedniu, nie uchylała się dla tego od czynienia dobrze tu i owdzie; jak inni wypytują się o miejsca zabaw, osobliwości i t. p. ona wypytywała się o owe przybytki łez, głodu, rozpaczy których nigdy nie brak, a największą miała predylekcję do wstydzących się żebrać. Wróciwszy od biednych i chorych te panie zasiadały do śniadania. Następnie nauka, pobożne półgodzinne czytanie, muzyka, śpiew, rysunek, nauka języków, dziejów, zabierały czas do obiadu który punkt był o piątéj; po obiedzie czytanie poezji, pamiętników, opowiadań, dzienników (romansów nigdy); o 9téj przyjmowanie do jedenastéj o któréj się kładły. W Pradze lub Wiedniu ten sam tryb życia prowadziły z tym wyjątkiem, że raz na tydzień w teatrze na operze bywały lub na koncercie. W świat jeszcze panny de C. nie były wprowadzone. Przejeżdżając z moim mężem przez Pragę r. 1845 byłam u pani de C. bardzo wiekiem podeszłéj staruszki. Córkę starszą wydała, młodszéj już na świecie nie było, a biedna matka na wieczną wskazana żałobę. Przykro to było widzieć tę osobę tak wesołą i swobodną dawniéj, wiekiem i smutkiem przygnębioną, twarz jéj bladą zmarszczkami poraną, oczy poczerniałe, popuchnięte od łez, całą w czerni, w krepowym czarnym czepcu. Przyjechawszy do Pragi zaraz napisałam do niéj, podpisując moje dawne nazwisko. Przypomniała sobie staruszka ową dziewczynkę którą tak serdeczném dawniéj polubiła współczuciem. Przyjechałam do jéj pałacu na umówioną godzinę; na samym wchodzie już wszystko zwiastowało smutek pani tego miejsca, szwajcar w żałobie wskazał nam schody czarném wysłane suknem. Za wejściem jakiś złowrogi smutek przejął nas samych niewypowiedzianą trwogą. Ludzie w żałobie wprowadzili nas do pokojów których kilka przeszliśmy. Wszystkie czarnym suknem obite, wszędzie czarno, ciemno, wilgotno, pusto; wszędzie ponura panowała cichość, kroków naszych i poprzedzającego nas lokaja słychać po czarném suknie nie było. W ostatnim pokoju dość obszernym podobnym do oratorium czyli pokoju do modlitwy, była sofka, łóżko, mury także czarno obite, ale przykryte prześlicznéj roboty obrazem przedstawiającym zdjęcie z krzyża, daléj Madonę trzymającą na ręku ukrzyżowanego Pana Jezusa, daléj Świętych patronów. W kącie ubogie żelazne łóżko z prostą kartonową firanką którego maleńkość zwiastowała twarde posłanie i twardość życia nieszczęśliwéj matki. W kącie zawieszony był portret nieboszczki wyrażający ją w bieli ulatującą do nieba i wyciągającą rękę do stojącéj na dole matki jakby ją także w niebieskie krainy za sobą powoływała. Pod jéj portretem, był zawieszony za szkłem oprawny, warkocz prześlicznych bląd włosów który matka własną jéj po śmierci ucięła ręką. Obok portretu stało biórko Adeli na którém poukładane graciki, książki które najbardziéj lubiła, jéj kajeta, nuty, fortepian, arfa, to wszystko grobowe milczące, szafki, pułki, kwiaty które pielęgnowała i które żyją bo je matka zawsze własną drżącą podlewa ręką. Na biórku bukiet co dzień odmieniany jak było za jéj życia, list rozpieczętowany, pióro którém pisała, nietknięte już od lat trzech. Gdy weszłam do tego miejsca drogich pamiątek i zobaczyłam nieszczęśliwą matkę serce mi się ścisnęło; pani de C. siedziała samotnie na sofce, przed nią stolik okrągły na którym nabożne książki, notatki, kałamarz, pióro, nabożne sztychy. Pan Jezus ukrzyżowany z słoniowéj kości, koronka. Pani de C. czytała, nie słyszała jak weszłam, jam się zatrzymała, prawda że ją od bardzo wielu lat nie widziałam, nigdybym ją była nie poznała, zatrzymała wprawdzie dawną delikatność i szlachetność rysów. Stałam parę minut nieporuszona, nakoniec pani de C. podniosła oczy jam uklękła przy niéj.... Któż zdoła opisać co się w duszy mojéj działo? Żałoba matki po stracie dorosłego dziecka z niczém się nie da porównać; jest to sieroctwo, ale zupełnie

przeciwne biegowi natury i dla tego taką boleścią przeszywające serce...... Uściskała mnie pani de C. przy sobie posadziła, „Adeli mojéj już nié ma....“ powiedziała, „Bóg ją zabrał bo zbytnio byłam z nią szczęśliwą, a Bóg nie chce naszego szczęścia na tym padole nędzy i upadku.“ To mówiąc rzewnie staruszka zapłakała. Łzy starca to coś tak okropnie bolesnego, zdaje się starcy mają niejakie prawo do wypoczynku po dolegliwéj utrudzającéj podróży, o ile miło widzieć pokój i swobodę na ich obliczu, o tyle bolesno patrzeć jak przy schyłku dni swoich szamoczą się jeszcze z boleściami i zawodami życia, „nié ma i pani des Issards i ją już Bóg do siebie powołał, moja Ludwika daleko z mężem i dziećmi, ja jedna jeszcze się tu po téj ziemi błąkam. Widać żem wielkiemi grzechami Boga obraziła kiedy każe mi tu jeszcze pokutować samotnéj, opuszczonéj.“ Zaprosiła mię potém do portretu a następnie do biórka córki, każdą pamiątkę oglądała, całowała, do serca przyciskała. Po godzinnéj rozmowie pożegnałam ją dawszy jéj słowo że będę jeszcze nazajutrz, że przyprowadzę męża którego życzyła sobie poznać. Jakoż byliśmy oboje z pożegnaniem, gdyż nazajutrz skoro świt jechać mieliśmy do Marienbadu którego wody uzdrawiające nakazane nam były, już więcéj nie widziałam pani de C. któréj rok późniéj podobało się Bogu przeciąć szereg dni pokuty i smutku, powołując ją do siebie. Po otwarciu testamentu okazało się że zrobiła bardzo wiele dobroczynnych legatów, a między innemi pozostawiła znaczny kapitał jako fundusz zakładowy na założenie domu schronienia dla biednych opuszczonych od familji dziewcząt, który nosić miał nazwisko jéj zmarłéj córki. Gdy dowiedziałam się z pism publicznych że pani de C. już nie żyje, serdecznie za jéj duszę westchnęłam, ale nie żałowałam jéj dla niéj; powiedziałam sobie: Cierpieć przestała a po nagrodę łez i smutku do najlepszego Ojca w niebie poszła.

Po sześciotygodniowych kąpielach w Baden, wróciliśmy do Wiednia gdzie trzy dni zabawiwszy, udaliśmy się w podróż do kraju.

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE

(Dalszy ciąg.)

W kilka dni potém byłem świadkiem pożaru który nie mało narobił popłochu we wsi i zniszczył ją całą. Murzyni zazwyczaj koszą trawy około swych chat aby się zabezpieczyć od ognia, nie wiem czemu tą razą zaniedbali tego środka ostrożności; trawa zajęła się po nad brzegiem morskim i szybko płomień przeniósł się do wioski. Nie słyszałem nigdy w życiu takich krzyków i takiego narzekania. Pewną razą gdy powracałem z polowania spotkałem processję murzyńską wychodzącą z barakonu. Niewolnicy szli parami połączeni łańcuchem krępującym im szyje. Na ramionach nieśli ciało zmarłego brata które pochować mieli w poblizkim lasku, jakoż doszedłszy tam złożyli je na ziemi bez żadnéj ceremonji i odeszli potém, wraz z dozorcą który z biczem, godłem swéj władzy szedł z niemi. Chmary dzikiego ptastwa wzleciały w powietrze po nad ciałem nieszczęśliwego niewolnika porzuconém na ich pastwę. Lasek ten był widać cmentarzem barakonów; biedni ludzie wyrwani z łona rodziny i ojczystego kraju znajdowali w nim wieczny odpoczynek. Zpoczątku miałem zamiar spocząć w cieniu drzew rozłożystych, lecz przekonawszy się w jakiém miejscu byłem straciłem ku temu ochotę. Postąpiwszy kilka kroków w głąb cofnęłem się ze wstrętem; wszędzie bielały kości ludzkie. Kiedy przylądek Lopez słynął z licznych barakonów, śmiertelność ich mieszkańców bywała wielka; ztąd też lasek zasiany był szkieletami, a gdzie niegdzie nawet wznosiły się całe stosy kości. Dowiedziałem się późniéj że cmentarze podobne wzbudzają jednaki wstręt w murzynach jak w ludziach białych. Oprócz zwyczajnego obrzydzenia, widok szczątków niewolników,

wzbudza zawsze w krajowcach pewien rodzaj pogardy. Jakkolwiek może się zdawać niejednemu że niewielka zachodzi różnica w położeniu zwyczajnego krajowca a niewolnika jednakże są pomiędzy niemi znaczące bardzo odcienia. Człowiek który się tam rodzi z matki niewolnicy, traci już tém samém wiele przywilejów; niewolnik jest tak pozbawiony wszelkich praw ludzkich i raczéj za rzecz uważany, że nieodpowiada nawet osobiście za popełnione przestępstwa, tylko pan jego jest za nie karany. Jeżeli człowiek wolny, umiera grzebią go w ziemię z wielkiemi ceremonjami w miejscu obmyślaném zawczasu i niebyłoby można wyrządzić umarłemu i żyjącym jego krewnym większéj obelgi, nad wyrzucenie ciała do okropnéj kostnicy barakonów. Cmentarz mieszkańców przylądka Lopez jest miejscem godném zwiedzenia które opiszę późniéj czytelnikom. Jeden z moich strzelców imieniem Fasiko, przyszedł z czterdziestoma ludźmi aby mi towarzyszyć w czasie podróży do przylądka i rzeki Fetisz które miałem zamiar zwiedzić. Kraj który przebywać mieliśmy był pusty i nieurodzajny, kobiety zatém przyrządziły nam znaczne zapasy podróżne złożone z mąki, z korzeni, manioku, pistacji, słodkich patatów i bananów. Fasiko prócz tego zabrał kotły miedziane do gotowania, znaczną ilość soli do solenia ułowionych ryb, oraz naczynia zwane *neptuny*, służące do wygotowywania z wody morskiéj soli, którą zwykle zbierają w czasach suchéj pory letniéj. Była to pora w któréj mieszkańcy cywilizowanego świata opuszczają miasta udając się do kąpieli morskich; w Sangatanga gdzie żadne rozrywki cywilizacji nie są znane, udawano się zwyczajnie pod ten czas na połów ryb, w które obfituje przylądek Lopez. Zajęcie około wędzenia, solenia i suszenia ryb, było pewnym rodzajem wakacyj letnich. Zabierano z sobą w drogę sieci w kosze, a zarazem i strzelby gdyż w trzcinie po nad brzegiem morza ukrywają się lamparty, a słonie spacerują tam również niekiedy. Przylądek Fetisz był głównym celem naszéj podróży, aby się więc prędzéj tam dostać, mil kilka przebyliśmy morzem pomieszczeni w czterech obszerniejszych łodziach. Ludzie moi ułowili pod czas téj przeprawy mnóstwo pięknych ryb. Nad wieczorem stanęliśmy w miejscu i rozpaliwszy ogień, po skończonéj wieczerzy zabraliśmy się do spoczynku, rozciągnięci na słomianych matach które przezorny Fasiko zabrał z sobą. Rzeka Fetisz jest jedną z najznaczniejszych w téj stronie, wpada ona do morza dzieląc się na drobne odnogi i przebiegając zatrute bagna, w których prócz węża żadne zwierze żyć nie może. Bagna te poprzecinane sadzawkami wody nieruchoméj, ciągną się na mil kilka i tworzą zdumiewającą sprzeczność z resztą żyznego bardzo kraju Na przylądku Fetisz znajduje się cmentarz wolnych Oroungus'ów; nazajutrz zaraz poszedłem go zwiedzić; z początku towarzysze moi nie chcieli mi wskazać drogi sądząc że chcę się natrząsać z ich zmarłych, gdy jednakże oświadczyłem im że przeciwnie uczcić ich pragnę, a nadto obiecałem przewodnikowi znaczną nagrodę, Niamkala który i tą razą był z nami, zdecydował się iść ze mną. Afrykanie wtedy tylko zazwyczaj bywają na cmentarzu gdy idą za pogrzebem, nielubią tam zaglądać w innym czasie, sądząc że to gniewa krążące po nad tém miejscem duchy ich ojców. Niamkala zatrzymał się u wejścia cmentarza, podczas gdy wchodziłem wewnątrz lasu, w którym zamiast krzewów stały ustawione pod drzewami drewniane trumny zawierające szczątki zmarłych. Niektóre z nich w proch się rozsypały i zostały tylko pod niemi białe ludzkie szkielety, mające jeszcze około piszczeli rąk, miedziane obręcze które je zdobiły za życia. Z innych znów trumien na wpół dopiero zgniłych, widać było ciała na wpół zepsute. Miejscami świeciły tylko skarby żelazne, ołowiane i miedziane, zachowane niegdyś wraz z ich właścicielami; nikt nieśmiałby ich skraść z tego miejsca. W głębi lasu stała trumna ostatniego króla, otoczona kuframi z rzeczami które życzył sobie zabrać na tamten świat; prawdziwie jednak wzbudził we mnie wstręt i litość najwyższą, widok szkieletów mnogich niewolników których zabito w chwili jego śmierci, aby miał liczną służbę około siebie w drugiém życiu. Niedaleko ztamtąd była dawniéj wioska zamieszkiwana przez rodziny które dziś wraz z królem przebywają w San-

gatanga, obecnie miejsce to zupełnie puste. Założyliśmy obóz wśród krzaków po nad brzegiem, przez dni kilka wiedliśmy tam życie niezmiernie czynne. Kobiety nawet i dzieci które z nami przybyły miały wiele zatrudnienia. Pierwsze, cały dzień sól wygotowywały, ostatnie zaś musiały dostarczać gałęzi na ogień. Mężczyźni łowili, sprawiali i solili ryby, które następnie wędziły się lub suszyły na słońcu; sól musiano także wysuszać. Niektórzy z towarzyszów zajmowali się wyłącznie połowem żółwi; zależał on na tém aby w chwili upatrzonéj gdy żółwie wyjdą na piasek, przewracać je na wznak; niemogą już wtedy uciekać, niepozostaje więc jak zabić je, oczyścić i uwędzić mięso. Zazwyczaj potrzeba kilku ludzi do przewrócenia jednego żółwia. Co do mnie chwytałem na wędkę po temu urządzoną rekiny, jest ich bowiem mnóstwo w tém miejscu. Chińczycy, którzy jadają skrzele téj ryby, mieliby czém założyć całe targowisko Kantonu gdyby tu przybyli na łowy. Mieliśmy także poddostatkiem innéj zwierzyny, ptastwo wodne leciało nieraz w takiéj ilości że zaciemniało słońce. Były także słonie i lamparty. Na wyjezdném wracając z lasu z Abokiem, usłyszeliśmy warczenie w trawie i dostrzegliśmy olbrzymiego lamparta gotowego rzucić się na nas. W mgnieniu oka daliśmy do niego ognia ze strzelb które na szczęście kulami były nabite, padł od razu u nóg Aboka. Zachowałem sobie na pamiątkę jego piękną centkowaną skórę. Było to wspaniałe zwierze największe z tych które widziałem dotąd. Powróciwszy do Sangatanga wyruszyłem niebawnie morzem do Gabonu, zadowolniony wielce że znów znajdę się wśród życia ucywilizowanego.

IV.

Wyspa Korisko — Mbengas'y — Missjonarze — Czuwanie przy umarłym — Odjazd do Muni — Obdłużony Afrykanin — Podróż — Przybycie do Muni — Król Dayoko — Dyplomacja wewnętrzna — Wartość kobiety — Pokolenie Mboushas — Czarnoksiężnik — Proces i wykonanie wyroku — Wzruszenie Sekianisów na wieść o mniemanych moich bogactwach — Ntambounay — Sierra del Crystal — Dalsza podróż.

Wypocząwszy krótki bardzo przeciąg czasu, udałem się w podróż do słynnéj z piękności wyspy Korisko. Jest ona bardzo niewielkich rozmiarów, a jednakże posiada wzgórza, doliny, lasy a nawet małe jezioro w którém kąpią się stada dzikich kaczek. Jest to jedném słowem mały raj ziemski; wybrzeża skaliste z jednéj strony wstrzymują uderzenia rozhukanego morza, z drugiéj zaś płaskie i pokryte białym piaskiem, przedstawiają wdzięczne bardzo widoki drobnych wiosek, rozrzuconych pomiędzy pękami palm cudnéj zieloności i plantacje bananów, pistacji i manioku. Piękne muszle zalegają piasek wybrzeża po każdym odpływie morza. Na skałach zwieszają się piękne ptaki morskie czyhające na ryby, w głębi lasów zaś różnokolorowe papugi i inne ptastwo o świetném pierzu. Ryby i żółwie poławiają się tam w wielkiéj ilości. Drzewa kokosowe i cytrynowe napełniają lasy, równie jak palma oleista z któréj zbierają znaczną ilość oliwy. Powietrze wyspy jest czystsze i zdrowsze aniżeli w innych częściach Afryki. Ludność składa się z około tysiąca murzynów pokolenia Mbengas'ów. Są oni łagodnego usposobienia, gościnni bardzo i sprzyjający serdecznie ludziom białym, a osobliwie missjonarzom którzy wpośród nich zamieszkali. Pokolenie Mbengas'ów należało niegdyś do najburzliwszych, prowadziło nieustanne wojny z sąsiadami i dopiero missje amerykańskie od lat dziesięciu pracując nad tém potrafiły złagodzić jego obyczaje. Dziś straciło już rozgłos srogości, którym się chlubiło dawniéj. Mbengas'y zamieszkują nie tylko na wyspie Korisko, zajmują oni nadto ziemię w pobliżu przylądków Steiras i Świętojańskiego. Język ich rożni się trochę od języka Bakalajsów, podobnie jak oni jednakże nieużywają w mowie litery R, podczas gdy w innych narzeczach Mpongwów często bywa powtarzaną. W Korisko nié ma innych czworonogów nad kilka gatunków wiewiórek. Węże jednakże są za to liczne, a szczególniéj czarne, jadowite. Nié ma tam wiele przedmiotów handlu, mieszkańcy zatém rozwijają swój przemysł na stałym lądzie. Łodzie ich przesuwają się bezustannie na rzekach Muni i Mondach oraz na wybrzeżach Banoko. Są trzy kolonje misjine na wyspie Ewangasimba, Ngobi i Alonga, do każdéj z nich przywiązana

jest szkółka. Szkółki te miały na tydzień po stu blizko uczniów, w niedzielę przychodziło ich do stu dwudziestu. Zdaje się zatém że młode pokolenie odmienną ma przyszłość przed sobą od przeszłości naddziadów. Kilkudziesięciu starszych mieszkańców przyłączyło się również do kościoła chrześcijańskiego. Missjonarze mają nadto uczniów pomiędzy dziećmi mieszkańców stałego lądu i sądzą że wkrótce ci uczniowie opowiadać będą mogli ewangielję pomiędzy swemi współziomkami. Ze staremi murzynami zachodzi zazwyczaj wielka trudność w nawracaniu; mają oni pełno przesądów od których odstąpić niechcą i popadają co chwila w dawne błędy. Lubią i szanują missjonarzy lecz ich nauczanie nie wielki na nich wpływ wywiera. Na kilka dni przed moim odjazdem z wyspy, umarł jeden z jéj mieszkańców imieniem Tonda, co sprawiło że byłem obecny dziwnéj ceremonji czuwania przy umarłym. Gdy wszedłem do izby w któréj stał umarły, zastałem tam kilkaset może kobiet. Siedząc tak blizko jedna drugiéj, że zdawały się tworzyć jakąś nierozdzielną massę, zawodziły głośne żale. Nie mogłem z początku dostrzedz po za niemi ciała umarłego; gdy się rozsunęły ujrzałem je wreście. Nieboszczyk siedział na stołku ubrany w czarne suknie i paciorki zawieszone na szyi. Choć bladość nieprzebija przez czarną skórę, miał jednakże postać widma. Stałem na boku przypatrując mu się pogrążony w ponurych myślach, gdy nagle rozsunęły się znów kobiety i weszła jego strapiona matka; głowę miała ogoloną a całe ciało obsypane popiołem. Padła do nóg syna i prosiła go aby raz jeszcze do niéj przemówił. Gdy nie usłyszała jego głosu wydała taki jęk, że zadrżałem na odgłos cierpienia tego biednego afrykańskiego serca. W żalu murzynów za umarłemi przebija zawsze owa myśl pogańska, że wraz z życiem wszystko skończone dla człowieka. Prawdziwie że oświecać i pocieszać tych ludzi jest wielką zasługą. Gdy miałem opuścić chatę, jęki wszczęły się w najlepsze. Kobiety przy każdym umarłym odgrywają rolę płaczek. Przyjaciele jego odrzucają na kilka miesięcy stroje, wstrzymują się od tańca i wszelkich wesołości objawów. Jest to rodzaj żałoby która trwa dopóki pierwszy żal nie przeminie. Biedny Tonda pogrzebiony był na sposób chrześcijański; missjonarz wielebny Mackey niepozwolił zatem pogrzebywać wraz z nim różnych kosztowności; miał potem przemowę po nad grobem w któréj mówił o przyszłém życiu, chciałem się łudzić myślą że pocieszyła choć trochę biedną matkę. W téj porze roku (to jest w lipcu i sierpniu) zatoka Korisko uczęszczaną bywała dawniéj przez wieloryby, liczne statki zawijały do niéj wtedy na połów, obecnie nié ma ich, bo wieloryby spłoszone w inne przeniosły się strony. Podczas mego pobytu na wyspie zawdzięczałem gościnność missjonarzom panom James Mackey i Clemens, niepodobna mi dotąd nie wspomnieć z uczuciem ich dobroci i delikatności. Z ich domu wyprawiłem się w daleką podróż, w celu zwiedzenia rzeki Muni aż do jéj źródeł, a zarazem przebycia na drugą stronę gór Sierra del Crystal i poznania tamtych krajów. Pragnąłem także bardzo żywo poznać pokolenia góralskie które uchodziły za ludożercze, oraz przekonać się czy rzeka Kongo, o któréj mówiono, że płynie na północ gór, w istocie znajduje się w téj stronie. Jeden z naczelnych wodzów imieniem Mbango, zawarł ze mną umowę którą zobowiązał się przedstawić mię jednemu ze swych przyjaciół, z naczniejszemu królowi z nad brzegów Muni. *(d. c. n.)*

O UBIORACH I ROBOTACH.

Paryż dnia 20 Września.

Niebo tutejsze tak jeszcze pogodne i czyste, że niema mowy o ubiorach jesiennych, lato panuje w całéj swéj chwale i żaknoty ani myślą ustępować cięższym materjom, to też o ubiorach kobiet niema co mówić, gdyżby chyba powtarzać trzeba to co się już wpierw powiedziało. Wspomnę wam coś natomiast o strojach dziecinnych, lecz i to nie wiele, gdyż w nich także nowości niema. Chłopczyki wyszłe z pierwszego dzieciństwa, w miejscu sukienek ze spódniczkami noszą bluzy tak zwane *amerykańskie*, z krótkiemi do łokcia na wpół obcisłemi rękawami, z kieszeniami z boku i na przodzie. Majtki do tego szerokie bufiaste. Kolor całego ubioru jest wedle upodobania

matek, najstosowniejszy popielaty z czarném lub białém wyszyciem i takiemiż guzikami. Dziewczynki miewają zawsze spódniczki z epoletami i paskiem szwajcarskim do białych muślinowych koszulek, a kapelusiki okrągłe tyrolskie. Przy sukienkach maleńkich dzieci na ręku noszonych, dają z tegoż samego materjału długie peleryny *(camail)* zastępują już one miejsce płaszczyków. Buciki safjanowe koloru całego ubrania, spięte stalowemi guzikami na boku, są najwięcéj używane tak przez chłopców jak przez panienki. Napatrzyłam się wczoraj w sklepie jednego z pierwszych tutejszych jubilerów, cudnie pięknie wyrabianych klejnotów w dziwacznych niezmiernie kształtach. Widziałam naprzykład cały garnitur *(parure)* z motyli, których środki były z jednej podłużnéj formy perły, a skrzydła z rubinów i szmaragdów. Drugi podobny garnitur był ze pszczół z djamentowemi skrzydłami. Równie jak owady, drogie kamienie naśladowały kwiaty w broszach i bransoletach. Śliczne były także nasadzania emalją otoczoną perłami. Pamiętacie ów kielich i monstrancję przyozdobioną podobnież w skarbcu naszego jasnogórskiego kościoła? otóż to ten sam rodzaj, tylko że tam emalja przedstawia rzeczy święte, klejnoty zaś paryzkiego jubilera odwzorywują wypudrowanych pasterzy i wykwintne pasterki, z sielankowych obrazów Bouchera i Watteau. Mozajka przyozdabia również bardzo wiele rzeczy, najwięcéj jednakże brosze. Śliczne widziałam garnitury z ametystów oprawnych w okcydowane srebro. Najmodniejsze bransolety były w kształcie obróży *(collier de chien)* pierścionki zaś formy podwiązek, to jest niby z tasiemeczki związanéj na kokardę. Djamenty oprawiają obecnie ruchomo w ten sposób, że każden kamień zawieszony osobno w rzędzie, niby łezka na złotém ogniwku. Ta oprawa podwaja blask ich, gdyż ciągle migocą poruszając się za każdym ruchem osoby która je nosi. Wszystkie wyżej opisane klejnoty muszą spoczywać w sklepie, aż do pory wieczorów zimowych, u wód bowiem i na wsi w obecnéj porze elegantki nasze nie noszą nic złotego, prócz gałek do trzcinowych laseczek, któremi zapewne aby sobie dać więcéj energiczną postawę, podpierają się na dalekich spacerach. Trzymają je w ręku w miejscu parasolki zastąpionéj kapeluszem o szerokiém rondzie. Do krawatek różnego rodzaju których również używają na wzór męzkich, najmodniejsze są szpilki w kształcie kosy. *M. D.*

Daszek na lampę (Abbat jour) naśladujący porcelanę.

Zwyczajny biały papier pociąga się z obu stron gorącym roztopionym woskiem, wyciąć go trzeba potem według formy daszku na lampę, dawanéj już kilkakrotnie w Kółku i wyklejać wedle upodobania arabeskami złotemi i srebrnemi, kolorowanemi djabolinami, karykaturami, owadami lub bukietami z kwiatów, wyciętemi z arkuszy rysunków na dekalkomanję, sprzedawanych w składach materjałów piśmiennych i rysunkowych. Przykleja się to wszystko gummą zostawiając znaczną część tła przezroczystego.

Aplikacja naśladująca wypukły haft złotem lub srebrem.

Ten rodzaj roboty najstosowniejszy do aparatów kościelnych, wykonywa się w następujący sposób: Kawałek złotéj lub srebrnéj lamy, podkleić gumą białym muślinem, na którym odrysowano wpierw liście. Liście te następnie wyciąć trzeba, podkładać watą aby były wypukłe i przyszywać sposobem aplikacji na kolorowéj materji, układając w bukiety lub wieńce. Obszywa się to wszystko sznureczkiem koloru lamy. Gałązek niepotrzeba podkładać watą, żyłki robią się bajorkiem a winogrona wypukłemi blaszkami. Bardzo są również ładne aplikacje z liści aksamitnych przygotowanych do sztucznych kwiatów, liście takie można przyszywać na materji lub też przylepiać gummą, jeżeli robota niebędzie później pozostawać w miejscu wilgotném; gałązki do nich i żyłki haftują się jedwabiem ściegiem atłaskowym, kwiaty zaś przyszywają się strzępiasto z wązkiéj marszczonéj wstążeczki jedwabnéj.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1. Przód stanika z baskiną — 2. Połowa pleców — 3. boczek — 4. Rękaw z wyszyciem koroneczką i guzami z czarnej materji lub aksamitu. Litery oznaczają miejsca któremi pojedyncze części mają się stykać A z A., B z B. etc. etc.

„ 5. Połowa pleców od stanika wyciętego do tiulowej kanzutki — 6. boczek — 7. Połowa przodu — 8. Rękaw krótki na którym przyszywa się długi rękaw tiulowy, którego figura pod numerem 9.

„ 10 — 11 — 12. Figury kanzutek do tegoż stanika.

„ 13. Haft na kaszmirze lub aksamicie złotą nitką; daje się do oprawy na pulares lub portmonetkę.

„ 14. Figura krótkiego paltocika z przodami wyciętemi okrągło.

„ 15. Połowa welonika. Haft na czarnym tiulu, czarnym jedwabiem, w sposób jak chusteczka na głowę (fanchon) opisana w Marcowym zeszycie pod Nem 1.

„ 16 do 20 – Cyfry.— Ner 29 do 32 — Szlaczki.

„ 33. Kaftanik dla małego dziecka, z białej piki, wyszycie czarną plecioneczką którą wpierw wygotować trzeba w gorącej wodzie aby potem w praniu nie puszczała.

„ 34. Rękaw do tegoż kaftanika.

„ 35. Haft na parasolkę na czarnym tiulu, takim sposobem jak welonik, lub z aplikacją czarnej mantyny.



Moine Imp. r. St Louis en l'Ile 90. Paris

135


KÓŁKO DOMOWE

Październik 1863

KÓŁKO DOMOWE

Miesiąc Październik

1863 r.





№15
№26
№25
№23
Lucja
№22
Julja
№21
№32
№33
№20
№19
№18
№26
№24
Magdalena
№8 góra rękawa marszczy się według objętości pachy
№34
№30
№10
№14
№9
№11
№12
№13
№27
№28
№31
№16
№17
№29
dół rękawa marszczki według ręki